

chybnie, trzymając się tej metody — zdaniem moim — ściśle historycznej, utrudniłem znacznie czytanie moich «Poprawek historycznych». Lecz niech mi wybaczą wszyscy moi czytelnicy — ale nie byłem w stanie ani przeczytać tego, co napisał p. Daszyński i p. Biliński, ani też za nich pisać istotną historię p. Daszyńskiego i p. Bilińskiego.

Dlatego też nie mogę i nie będę miał pretensji do nikogo, kto książeczki mojej nie zechce przeczytać. Zrobiłem w każdym razie swoją próbę odświeżenia historii mojej osoby.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW IGNACEGO DASZYŃSKIEGO
(«Pamiętniki» — tom I i II, Kraków, 1924, 1926, nakładem
Drukarni Ludowej)

I.

1) Po raz pierwszy w pamiętnikach p. Daszyńskiego nazwisko moje spotykam na stronie 162 pierwszego tomu. Wobec tego, że nazwisko moje nie jest związane z żadnym faktem, lecz z «nienawiścią do mnie podolskiego hrabiego¹⁾ i jego pomocnika prof. Strońskiego w Krakowie²⁾», a ja nie jestem w stanie sprawdzić stopnia tej nienawiści, pomijam ten ustęp bez żadnego sprostowania.

2) W rozdziale, zatytułowanym «Wojna rosyjsko-japońska», na stronie 214 spotykam znowu swoje nazwisko.

Pominę najzupełniej wszystko to, co jest charakterystyką moją, daną przez p. Daszyńskiego. Nie mogę bowiem odmówić komukolwiek prawa czynienia tej czy innej mojej charakterystyki, chociażby była nieścisła lub wręcz fałszywa. Zaznaczam jednak, że w r. 1901 wcale nie osiedliłem się w Krakowie, jak to pisze p. Daszyński, był to bowiem okres czasu, kiedy baza P. P. S. nie została jeszcze przeniesiona do Galicji, jak tego wymagałem ciągle od swoich przyjaciół w Londynie³⁾, i dlatego w 1901 r. po krótkim pobycie we Lwowie i Zakopanem wyjechałem do Londynu.

¹⁾ Prawdopodobnie mowa o hr. Tadeuszu Cieńskim, polityku galicyjskim, należącym do t. zw. «podolaków», prezesie Rady Narodowej we Lwowie, pośle na sejm galicyjski.

²⁾ Stanisław Stroński, b. profesor romanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, b. poseł na sejm galicyjski i b. poseł do trzech sejmów polskich.

³⁾ Mowa o Komitecie Zagranicznym P. P. S. w Londynie, przeniesionym później do Krakowa.

3) Pomijając więc całą stronę 215, związaną z charakterystyką mojej osoby i związaną właściwie z rozdziałem, zatytułowanym «Rewolucja w Królestwie», zatrzymam się jedynie na końcowej alinei stronicy, gdzie jest omówiony mój wyjazd do Japonii.

Przede wszystkim data wyjazdu jest postawiona fałszywie. Działo się to bowiem nie «w zimie 1905 r.», lecz w lecie 1904 r.¹⁾

Następnie cel wyjazdu jest tak śmieszny u p. Daszyńskiego, że wybuchnąłem wesołym śmiechem, gdy to przeczytałem. Mianowicie, p. Daszyński każe mi jechać do Japonii, «aby ustalić, jakie prace przeciwko caratowi mogą wykonać zesłańcy polityczni na Syberii».

Faktem istotnym jest, że gdzieś w maju 1904 r. zostałem zaproszony przez rząd japoński, abym przyjechał do Japonii dla rozmowy, bliżej nieokreślonej w zaproszeniu. Mogłem być się zgodzić na wyjazd innych osób, lecz zdecydowałem jechać osobiście. Uczyniłem to dlatego, iż nie mogłem nie przypuszczać, że najprawdopodobniejszą treścią tej rozmowy będzie udzielanie informacji o charakterze wojskowym państwu japońskiemu i w tak drastycznej sprawie nie chciałem nikomu dać pełnomocnictwa. Państwo japońskie zwracało mi wszystkie koszty podróży. Gdym jechał, przepływając oba oceany i przejeżdżając kontynent amerykański wpoprzek, miałem dość czasu, — gdyż podróż moja trwała więcej, niż miesiąc, aby się namyślić nad sposobem mego zachowania się w Japonii.

Zdecydowałem od razu, że zgodzić się mogę na zorganizowanie pracy informacyjnej tylko w tym wypadku, jeśli Japonia zgodzi się na udzielenie mi pomocy technicznej w broni i nabojach, gdyż nie przypuszczałem, aby wypadek tak wielki, jak wojna, toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie doprowadzał nas, Polaków, do sytuacji, gdzie za pomocą siły dałaby się osiągnąć znaczna poprawa w losach Polski.

Zgodnie z listem rekomendacyjnym, danym mi przez posła japońskiego w Anglii²⁾, musiałem złożyć wizytę w ministerium spraw zagranicznych w Tokio, by potem przejść do rozmowy specjalnej z zastępcą szefa sztabu japońskiego³⁾. Rozmowa moja, gdzie od razu wysunąłem na pierwszy plan tech-

¹⁾ Piłsudski wyjechał do Tokio z końcem maja 1904 r., dokąd przyjechał w lipcu tego roku. Por. t. II, str. 249.

²⁾ Posłem japońskim w Anglii był w tym czasie ambasador Hayashi.

³⁾ Mowa o gen. Muratu.

niczną pomoc Japonii, rezultatów praktycznych nie dała, tak, że jedynym rezultatem, który osiągnąłem, było wydzielenie w osobną grupę jeńców wojennych Polaków, wśród których musiała być spora ilość poddających się chętnie i z ochotą, wraz z możliwością z naszej strony oddania do dyspozycji sztabu jednego z naszych ludzi, jako pośrednika pomiędzy sztabem a pomiędzy jeńcami-Polakami ¹⁾.

Wobec tego śmieszne twierdzenie p. Daszyńskiego o celu mojej podróży do Japonii jest zupełnie fałszywe i polega na jakiejś dziwacznej hipotezie, podanej zresztą jako twierdzenie, gdy ja ani razu p. Daszyńskiemu nie mówiłem o mojej pracy, związanej z Japonią, i nigdy go nie chciałem w te sprawy wtajemniczać.

4) Na stronie 224 tegoż tomu p. Daszyński w rozdziale, zatytułowanym «Rewolucja w Królestwie», charakteryzując tę rewolucję, jeszcze raz mówi o mnie. Przytaczam ten kawałek literalnie: «Naprawdę Piłsudski zabijał strach przed Moskwą w szeregach robotniczych, naprawdę starał się stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie «organizacji bojowej», naprawdę zorganizował «krwawą środę» w r. 1906 i szeregi terrorystycznych zamachów na najokrutniejszych gnębieli rosyjskich, — rewolucja nie stała się ruchem zbrojnym masy polskiej przeciw rządowi rosyjskiemu».

Wszystkie trzy twierdzenia, zrobione przez p. Daszyńskiego o mnie, są fałszywymi. Po pierwsze więc nigdy nie sądziłem, by można było «stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie organizacji bojowej».

Po drugie — nie organizowałem «krwawej środy» ²⁾ w 1906 r. i byłem tej imprezie przeciwny. Po trzecie — byłem przeciwnikiem terroru personalnego i nigdy żadnego zamachu nie organizowałem. Wreszcie twierdziłem i twierdzę, że jeśli nie jedynym, bo to byłoby niesłusznym, to jednak jednym z powodów, dlaczego rewolucja nie stała się «ruchem zbrojnym», były trzy powyższe twierdzenia, przypisywane przez p. Daszyńskiego właśnie mnie.

5) Na stronie 233 znajduje się ostatnia wzmianka o mnie w pierwszym tomie pamiętników p. Daszyńskiego. Wzmianka ta ma postać następującą: «Myśl walki zbrojnej z caratem nie umarła. Przechował ją i w życie wcielił Piłsudski, tworząc najpierw «Związek Walki Czynnej», a potem «Związek Strzelecki», na którym usiłowały się wzorować wszystkie organi-

¹⁾ Pośrednikiem tym został Polak, Jakub Douglas.

²⁾ «Krwawa środa», por. t. III, str. 32.

zacje zbrojne, które powstawały przed wojną światową w Galicji».

Przede wszystkim nie ja stworzyłem «Związek Walki Czynnej», gdyż został on stworzony przez gen. Sosnkowskiego, w czasie, gdy ja kilka długich miesięcy spędziłem nie w Galicji, a w zaborze rosyjskim¹⁾; przy czym zarówno forma, nadana organizacji, jak i program kształcenia, zawierał, zdaniem moim, dużo błędów, tak, że miałem potem wiele kłopotu i musiałem dużo wysiłku uczynić, aby te błędy usunąć. Następnie «Związek Strzelecki» była to organizacja najzupełniej legalna, oparta na ustawach ogólno-austriackich, które zezwalały na naukę strzelania z wojskowych karabinów, z możliwością otrzymania tych karabinów od wojska; jednym słowem, organizacja, podobna do tej, jaką mamy obecnie w Polsce w postaci Przystosobienia Wojskowego. Istotnie popchnąłem wszystkich swoich zwolenników na tę ułatwioną, bo legalną formę pracy wojskowej, po naradzie z oficerami sztabu generalnego austriackiego, z którymi w owym czasie byłem w kontakcie.

II.

6) Na stronie 35 drugiego tomu jest wspomniane moje nazwisko w związku z napadem na pociąg na stacji Bezdany. P. Daszyński pisze o sobie: «część wywłaszczonych pieniędzy rosyjskich próbowałem zmienić w Europie zachodniej przez przeróżne pośredniczące osoby». Wobec tego, że wszystkie te pieniądze przechodziły przez moje ręce, ja zaś do p. Daszyńskiego nie zwracałem się ani razu w poruszonej przez niego sprawie, wątpię mocno, aby to twierdzenie p. Daszyńskiego było prawdą.

7) Na stronach od 41 do 45 włącznie opisywana jest «potężna rola historyczna Józefa Piłsudskiego, który dał obozowi niepodległościowemu odpowiedź na pytanie, co Polacy mają robić w ewentualnej wojnie Austrii z Rosją». Z wielką trudnością poznaję siebie w tych opisach i dlatego nie podejmę się nigdy sprostowania nieścisłych i zatem bardzo jednostronnych sądów p. Daszyńskiego o mojej «potężnej roli historycznej». Ograniczę się jedynie do kilku sprostowań.

Po pierwsze więc p. Daszyński raz jeszcze na stronie 42 mówi o «Związku Walki Czynnej» i przytacza kilka wyją-

¹⁾ Z. W. C. został założony w czerwcu 1908 r., w czasie kiedy Piłsudski przygotowywał w Wilnie akcję bojową na Bezdany.

ków z jego regulaminu ¹⁾). Stwierdzam więc, że te wyjątki nie były przeze mnie pisane i właśnie w tych wyjątkach są te ustępy, które, jak mówiłem wyżej, sprawiały mi przez długi czas dużo kłopotu i zmuszały do ich usunięcia za pomocą wielkich i długotrwałych wysiłków.

Następnie zaznaczyć muszę, że do bojówki P. P. S. nie należałem aż do 1914 r. — jak to mylnie twierdzi p. Daszyński — lecz usunąłem się z jej szeregów znacznie wcześniej.

Nareszcie na stronie 45 p. Daszyński pisze o Związku Walki Czynnej, że «w razie konfliktu posłowie socjalistyczni mieli obowiązek bronienia Związku Walki Czynnej i jego bezpieczeństwa». Zaznaczę, że ja osobiście, jako główny dowódca Związku Walki Czynnej, ani razu nie zwracałem się ani do p. Daszyńskiego, ani do któregośkolwiek z posłów socjalistycznych z propozycją, czy też prośbą o taką obronę, i nie przypominam sobie ani razu takiego wypadku, aby taka obrona była przez posłów socjalistycznych wnoszona. Osobiście aż do 1914 r. opierałem całe zabezpieczenie mojej pracy wojskowej w Galicji na kontakcie, jaki miałem w owe czasy z kilku oficerami austriackiego sztabu generalnego. Uważałbym zaś wszelką domieszkę do tego zabezpieczenia krzykliwych i zwykle przesadnych wystąpień posłów socjalistycznych, mających charakter wybitnie antymilitarny, nie za zwiększenie, lecz za zmniejszenie tegoż zabezpieczenia.

8) Na stronie 95 p. Daszyński pisze o tym, że «Piłsudski wszedł w owym czasie w styczność z sztabem generalnym Austro-Węgier i miał konferencje z wojskowymi austriackimi we Lwowie i Przemyślu. Uznał za potrzebne wtajemniczać mnie stale w treść tych rozmów». O ile pierwsza część jest prawdą, chociaż nie ścisłą, o tyle ostatni frazes jest zupełnie fałszywy, gdyż ani razu z p. Daszyńskim w tej kwestii nie rozmawiałem, nie uważając dla siebie za możliwe wtajemniczać jego w te sprawy. Przede wszystkim związany byłem obustronną wymianą słowa honoru, że się na zewnątrz nikomu o tych rozmowach nie mówi, a nie zwykłem łamać kiedykolwiek słowa honoru. Obok tego p. Daszyński byłby w moich oczach ostatnim, z którymbym o tym mógł mówić, gdyż znając egotyczny charakter p. Daszyńskiego, nie wierzyłem nigdy, aby tajemnica innego człowieka dla niego kiedykolwiek coś znaczyła.

9) Doprawdy niebardzo rozumiem, dlaczego p. Daszyń-

¹⁾ Por. Juliana Stachewicza: «Początki Związku Walki Czynnej». «Niepodległość», t. II, str. 43—60.

ski tak «stale i wiernie» doczepia moje nazwisko czy do swoich przemówień, czy do swojej pracy w Galicji. Tym razem na stronie 97 doczepione jest również nazwisko p. Moraczewskiego, gdyż obaj ci panowie «stale i wiernie popierali każde zamierzenie Piłsudskiego i («horribile dictu») jego strzelców», czym «tłumili głosy krytyki pacyfistycznej w naszych szeregach». Nie chcę temu zaprzeczać, lecz odniosę cały ten ustęp, związany z moim nazwiskiem, do zwykłych w pamiętnikach p. Daszyńskiego nadużyć stylowych.

10) Na stronie 102 nazwisko moje wspomniane jest w związku z wystąpieniem p. Daszyńskiego z krytyką reformy wojskowej w Austrii i z jego żądaniami «w duchu demokracji i najnowszych doświadczeń na polach Mandżurii». Przy czym «wszystkie dane z tej wojny» otrzymał p. Daszyński ode mnie. Gdy czytam następną prawie całą stronę 103, zajmującą ową krytykę i żądania, stanowczo stwierdzam, że z tą krytyką i żądaniami nic a nic nie mam wspólnego i że śmieszne nieraz i dowodzące absolutnej nieznajomości organizacji wojska twierdzenia p. Daszyńskiego nie są moje, lecz własne p. Daszyńskiego. Faktem zaś jest, że nieraz nie tylko p. Daszyńskiemu, lecz dziesiątkom innych panów często opowiadałem różne anegdoty wojenne z wojny mandżurskiej, którą istotnie studiowałem zawzięcie i stale. Dodam, że o zamiarze p. Daszyńskiego wystąpienia z krytyką i żądaniami w sprawie reformy wojskowej w Austrii nic nie wiedziałem, a zatem z formą, w jaką to on ubierał w parlamencie austriackim, nic a nic wspólnego nie miałem.

Przypominam sobie w podobnej sprawie jeszcze jeden fakt, związany z pewną rozmową, zaczęłą przez p. Daszyńskiego. Nie mogę odnieść jej do jakiegoś określonego czasu, lecz w każdym razie w rozmowie tej ani razu nie było mowy o wystąpieniu p. Daszyńskiego w sprawie reformy wojskowej. Mianowicie — pewnego razu zwrócił się do mnie p. Daszyński z prośbą, bym zechciał dopomóc p. Liebermanowi w jego pracy w komisji wojskowej w parlamencie austriackim. Gdym wyraził swe zdziwienie, że właśnie p. Lieberman został wysłany do komisji wojskowej, tłumaczył mi p. Daszyński ten fakt tym, że p. Lieberman był posłem z Przemyśla, jednej z największych fortec austriackich, i że w ten sposób może potrafi uzyskać lepsze warunki dla swojej pracy w Przemyślu, niż to było dotychczas. Wymawiałem się bardzo usilnie od tego rodzaju propozycji, twierdząc, że bez jakichkolwiek materiałów i bez oznaczenia celu nie mógłbym w niczym pomóc p. Liebermanowi. Gdy jednak p. Daszyński nastawał co-

raz usilniej, rozpoczynając rozmowę po kilka razy, zdecydowałem na odczepnego dać krótką zapiskę o znaczeniu dobrego wykształcenia rezerwowych oficerów i w ogóle rezerwistów, gdyż z nich właściwie składać się musi nowoczesna armia, gdy jest zmobilizowana. Tak też i uczyniłem, starając się najusilniej, aby ani jedno słowo nie było pisane moim pismem, tak, abym mógł zawsze się wyprzeć wszelkiego udziału w pracy p. Liebermana w komisji wojskowej wiedeńskiego parlamentu.

11) Na stronie 114 p. Daszyński wspomina moje nazwisko w związku z całym szeregiem różnych organizacyj o charakterze wojskowym, które rozwinęły się w bardzo silnym stopniu w Galicji pod wpływem wojny bałkańskiej. Cała charakterystyka poszczególnych organizacyj nie należy do mnie, lecz do p. Daszyńskiego.

12) Od strony 116 idzie cały szereg ustępów, gdzie nazwisko moje wspomniane jest prawie na każdej stronie w związku z utworzeniem i pracą znanej w historii ostatnich lat przed wojną światową «Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych» ¹⁾. Historia tej organizacji przedstawiona jest przez p. Daszyńskiego dosyć fałszywie. Istotnie rzecz się miała, jak następuje: w drugiej połowie 1912 r. Austria, widząc nadzwyczaj usilne przygotowania do wojny, czynione przez Rosję, zdecydowała przerwać te przygotowania za pomocą odpowiedniego, prawie wojennego nacisku na Rosję. Tak przynajmniej twierdzili mi panowie z generalnego sztabu, z którymi miałem kontakt, którzy, uprzedzając wypadki, zaczęli omawiać ze mną zupełnie już praktycznie sprawę mego wystąpienia wspólnie z armią austriacką. Dodam od razu, że warunki, do których w owe czasy się dogadałem, były co najmniej dziesięć razy lepsze, niż te, z którymi miałem do czynienia w lipcu 1914 r. Zmuszony więc byłem do praktycznego podliczenia swoich własnych sił i wszystkich moich możliwości. Wobec tego, że w stawianych mi warunkach sprawy polityczne nie odgrywały żadnej roli, były zatem pozostawione mnie samemu, uznałem od razu, że występować jedynie w swoim imieniu nie będę w stanie, a więc muszę się starać o to, aby wytworzyć lub zorganizować chociażby pozorną bazę polityczną, na którą mógłbym niejako zrzucić odpowiedzialność za moje kroki, tak, aby ta odpowiedzialność nie spoczywała jedynie na moich barkach. Unikałem zaś przede wszystkim wyłączności socjalistycznej, jako rzeczy,

¹⁾ Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych powstała w dniu 10 listopada 1912 r. Por. t. III, str. 171—172.

która raczej szkodzić, niż pomócby mi mogła. Wobec tego, że samo zorganizowanie jakiegokolwiek centrum poprzedzić musiały bardzo liczne i bardzo przykre nieraz rozmowy, brałem do pomocy dla tych spraw zwykle p. Walerego Sławka i p. Michała Sokolnickiego, odkładając rozmowę o tej sprawie z p. Witoldem Jodko ¹⁾, ówczesnym głównym przedstawicielem P. P. S., na sam ostatek, gdyż obawiałem się ogromnie jego namiętnej chęci dominowania nad wszystkimi innymi z chęcią upieczenia chociażby małej pieczeni partyjnej. Co się tyczy partii P. P. S. D. z p. Daszyńskim na czele, nie wchodziła ona całkiem w pierwszych moich krokach w rachubę, głównie ze względu na osobę p. Daszyńskiego, którego niesmaczny, stale mentorski i głupio guwernerski ton mógł mi w pierwszych krokach zepsuć wszystko, com rozpoczynał. Ustąpiłem pod tym względem bardzo usilnym namowom p. Witolda Jodki i jeszcze usilniejszym i nieraz zabawnym prośbom p. Hipolita Śliwińskiego ²⁾. Było mi wtedy bardzo obojętnym, kto i w jakim celu wszedłby do takiej rozszerzonej odpowiedzialności — wiedziałem bowiem dobrze, że cała praca z chwilą wybuchu wojny spadłaby tylko na mnie i że nie dałbym nigdy nikomu prawa skrzepowania mnie czymkolwiek.

Zaostrzenia o charakterze wojennym przeciągały się aż do początku 1913 r. Były gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia momenty tak ostre, że ze sztabu pierwszego korpusu austriackiego w Krakowie zawiadomiono mnie, abym przez najbliższe dni nie wychodził z domu, gdyż każdej chwili można oczekiwać rozkazu rozpoczęcia przygotowań do mobilizacji i wtedy, zgodnie z umową, miałbym prawo rozpocząć zwieźnienie wszystkich gniazd strzeleckich do umówionego miejsca w Wadowicach. Zaostrzenie to minęło, jak mnie opowiadali oficerowie austriaccy, w sposób niezwykle zabawny. Mianowicie — główną przeszkodą w postawieniu ultimatum Rosji był stary cesarz Franciszek Józef. Dla podniecenia starego monarchy zdecydowano, że wszyscy dowódcy korpusów austriackich po kolei mieli się zameldować u cesarza, zgłaszając, że korpus tak i taki gotów jest na wszystkie ewentualności. Jakoby cesarz wysłuchiwał spokojnie tych raportów i na ostatku, jako swój wywód, powiedział, że on to już raz w życiu słyszał od znanego generała Benedeka ³⁾, który przegrał wojnę

¹⁾ Por. t. III, str. 161.

²⁾ Por. t. III, str. 155.

³⁾ Ludwik Benedek (1804—1881), gen. austriacki, dowódca armii północnej w wojnie z Prusami w 1866 r.

z Prusami 1866 r. w znanej bitwie pod Sadową ¹⁾. Cesarz wtedy postanowił raz jeszcze przemówić jako dynasta do dynasty i wysłał do cesarza Mikołaja II w specjalnej misji ks. Lichtensteina. O ile ta historia jest prawdziwa w szczegółach — nie wiem, lecz opowiadali mi ją ze szczegółami moi znajomi oficerowie sztabu austriackiego.

Pamiętam dobrze, że czekając w owe ostre dni na zawiadomienie o możliwości rozpoczęcia mobilizacji z mojej strony, liczyłem ciągle całą kasę, którą miałem w kieszeni. Zawierała ona równo 340 koron, co konstatowałem z niezwykle smutnym i gorzkim uśmiechem. Dlatego też rozpocząłem zaraz starania o to, aby przynajmniej na przyszłość nie być w podobnie bezradnej sytuacji. Dało to początek instytucji, zwanej «Polski Skarb Wojskowy» ²⁾, przy której najczynniejszymi byli znowu p. Walery Sławek i p. Michał Sokolnicki.

Gdy więc historia istotna wygląda w ten sposób, jak to przedstawiłem, to w pamiętnikach p. Daszyńskiego ta historia unika najstaranniej pracy w owe czasy decydującej, to znaczący stosunków austriacko-rosyjskich, zatrzymując się jedynie na przypadkowych rzeczach, związanych z osobą p. Daszyńskiego. A wtedy moja osoba i moje nazwisko, wtykane przez p. Daszyńskiego to tu, to ówdzie bez żadnego systemu, wyglądać musi niezwykle zabawnie i całkiem nieodpowiednio do istotnego stanu rzeczy i do istotnej mojej pracy.

13) Od strony 126 nazwisko moje spotyka się coraz rzadziej i wspomniane jest właściwie w jednym tylko wypadku, gdzie «z wojskiem nie było wszystko w porządku» ³⁾. W tej części ostatniej rozdziału XXIII p. Daszyński przechodzi do r. 1913, kiedy — jak pisze — bezpośrednia groza wojny minęła, a zarazem do roku ostatniego, gdy pokój panował jeszcze na świecie. Pomimo, że te dwa lata, 1912 i 1913, tak zasadniczo były inne w historii naszej, u p. Daszyńskiego te dwa lata są pomieszane pomiędzy sobą w jakąś dziwną kaszę, w której rzeczy, związane z r. 1913, kiedy groza wojny minęła, są wplecione do tego czasu, kiedy groza wojny dochodziła do najwyższego napięcia. Z tego też powodu nadzwyczajnie trudnym jest dla każdego szukającego prawdy orientować się w tak dziwacznej historii, z niezwykleją płataniną czasu, wypadków i ludzi,

¹⁾ Bitwa pod Sadową odbyła się w czasie wojny austr.-pruskiej w dniu 3 lipca 1866 r.

²⁾ «Polski Skarb Wojskowy» powstał w dniu 26 sierpnia 1912 r.

³⁾ Daszyński mówi na str. 126 t. II o tarciach między Związkiem Strzeleckim a Drużynami Strzeleckimi.

podlewanej wszędzie niesmacznym sosem partyjnictwa i egoistycznego ujmowania najdrobniejszej nawet rzeczy.

Istotnie zaś rok 1913 dał w rezultacie niezwykle rozwój organizacyj o charakterze wojskowym, tak, że liczba tych organizacyj nie pozwalała już na sąd, że było ich tylko dwie, mianowicie «Związki Strzeleckie» i «Drużyny Strzeleckie» i jeżeli nowy pogląd taki był z gruntu fałszywy, gdyż tylko te dwie organizacje prowadziły systematyczne szkolenie swoich członków w zawodzie wojskowym, to jednak krzykactwa partyjne wszelkiego gatunku, ze zdziczałymi formami prasy i przemówień galicyjskich, czyniły zawsze z zera miliony, a z setek i tysięcy zero. Nie przeszkodziło to jednak, że w r. 1914, czyli przy istotnym wybuchu wojny, kalkulacja, zrobiona przez sztab austriacki, poszła daleko w kierunku ujmowania sprawy na sposób galicyjskiego krzykactwa, tak, że warunki, mnie poddyktowane, były dziesięć razy gorsze, niż te, które miałem w 1912 r.

Z przedstawienia rzeczy przez p. Daszyńskiego, który «magna pars fuit» ¹⁾ tegoż galicyjskiego krzykactwa, nie można nic innego wyciągnąć, jak tylko tę istotną rzeczywistość prawdę, że p. Daszyński stał bardzo i bardzo daleko od tych prac, które były przeze mnie prowadzone i które tak silnie zaważyły na szali dziejów naszego narodu. Dlatego też, nie prostując słów p. Daszyńskiego o mnie, zakończę swoją pracę w stosunku do rozdziału XXIII.

14) Gdy wezmę rozdział XXV, nazwisko moje oraz moje czynności spotykają się raz po raz i nic w tym dziwnego, gdyż mowa tam o mobilizacji strzelców i o dniu 6 sierpnia 1914 r.

Rozdział ten, wbrew dotychczasowej metodzie, przeczytałem od deski do deski, stronica za stronicą; tyle tam jest błędów historycznych, tyle nieścisłości w datach i tyle fałszywych oświeleń mojej pracy, że właściwie musiałbym napisać cały inny rozdział, aby ułożyć należyte sprostowanie błędów p. Daszyńskiego co do mojej pracy i mojej osoby. Naturalnie, p. Daszyński, nie będąc wtajemniczany przeze mnie nigdy w stosunki moje ze sztabem austriackim, który był w tej chwili dominującym czynnikiem w całej Austrii, a więc i w Galicji, nie mógł zdać sobie najmniejszej sprawy ani z mojej sytuacji, ani też z moich czynności i zapewne stąd pochodzą dziecinne sądy p. Daszyńskiego i dziecinnie śmieszne jego wyobrażenia o wypadkach, których był świadkiem. Co do mnie, przypominam dokładnie moje wrażenie, jakie miałem z powodu p. Da-

¹⁾ Brał wielki udział.

szyńskiego w tych chwilach, które uważam dla siebie za najcięższe. Pan Daszyński, zaskoczony ogromem wypadków, zmalował tak widocznie i tak nie wiedział, co czynić, że stracił zwykły swój tupet, nieznośną chęć swoją do wywyższania siebie, do mentorowania i zatracił wyraźnie swój niesmaczny ton.

W pamiętnikach swoich jednak p. Daszyński olbrzymio staje się podobnym do siebie. Dlatego też, nie chcąc pisać innego rozdziału o mobilizacji strzelców i dniu 6 sierpnia 1914 r., zatrzymam się jedynie na sprostowaniu paru faktów, fałszywie przez p. Daszyńskiego przedstawionych.

Na stronie 158 p. Daszyński pisze: «Ponieważ Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych powzięła uchwałę, żeby wojsko strzeleckie wkroczyło w granice caratu po wypowiedzeniu wojny przez Austrię, a głównie dlatego, że było bardzo mało czasu dla przygotowania wymarszu strzelców, ociągnął się ten wymarsz aż do 6 sierpnia». No, kto może takie śmieszne rzeczy pisać, jak nie p. Daszyński! Stwierdzam więc, że przez cały czas moich przygotowań do wymarszu, ani jednej chwili nie myślałem o jakiegokolwiek uchwale tej Komisji; składała się ona bowiem z ludzi, tak samo zatraconych i tak samo nie wiedzących, co czynić, jak p. Daszyński. Natomiast istotnym powodem daty 6 sierpnia był fakt, że do 6 sierpnia nie miałem pozwolenia sztabu austriackiego do przekroczenia granic państwa rosyjskiego. Dozwolono jedynie na przekroczenie granicy małym grupkom, nie przekraczającym dziesięciu ludzi. Wykorzystałem zaś ten fakt, wysyłając już 2 sierpnia siedmiu ludzi konnych, mianowicie — pierwszy patrol Beliny.

Następnie sprostować muszę daty p. Daszyńskiego o konferencji, która się odbyła u p. dra Lea, prezydenta Krakowa i prezesa Koła polskiego w Wiedniu. Wbrew temu, co p. Daszyński pisze, inicjatorem tej konferencji był nie p. Daszyński, ale ja.

Przede wszystkim parę słów co do daty tej konferencji. Ściśle tej daty nie pamiętam, lecz zestawiając wszystkie zdarzenia w owym czasie, byłbym pewniejszym siebie, gdybym cofnął datę 4 sierpnia, podaną przez p. Daszyńskiego, o parę dni wstecz. Następnie z pewnością stwierdzić mogę, że o «przedłożeniu projektu wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych» ¹⁾, ja nie tylko nie wiedziałem, ale i nie mógłbym być

¹⁾ Daszyński na str. 160 t. II pisze: «Dnia 4 sierpnia (1914 r.) udałem się do p. dra Lea, prezydenta Krakowa, aby mu przedłożyć projekt

na takiej konferencji, z takim celem zwoływanej, gdy — jak pisze p. Daszyński — 3 sierpnia usunąłem się z tej Komisji. Istotna historia tej konferencji jest następująca.

Rozmowa moja z przedstawicielem austriackiego sztabu generalnego, gdzie warunki wystąpienia mojego zostały znacznie pogorszone, zmusiła mnie do wzięcia paru dni namysłu na odpowiedź. Wrażenie moje z tej rozmowy, które odniosłem, polegało na tym, że rok 1913 nie darmo minął nie tylko dla Galicji, ale i dla sztabu austriackiego.

Rozwój organizacyj wojskowych w Galicji i krzykactwo wszelkiego rodzaju partyjników galicyjskich uczyniło najwidoczniej kalkulację sztabu inną, niż była ona w 1912 r. Zaczęto widocznie liczyć się bardziej z galicyjskim sposobem widzenia, niż z możliwościami, które spotkać można było w zaborze rosyjskim. Dlatego też, dla poprawy tych ciężkich dla mnie warunków, myślałem poszukiwać chociażby pozornej i chociażby chwilowej pomocy i oparcia w galicyjskich t. zw. mężach stanu. Najlepszym mi się wydawał do tego p. Leo, jako demokratą, nie zarażony chęcią supremacji i panowania nad wszystkim. A że go nie znałem, zwróciłem się do p. Daszyńskiego z prośbą, by mi ułatwił porozumienie się z p. Leo. Nie dało mi to nic pozytywnego, gdyż minęło kilka dni, nim zostałem do p. Leo zaproszony, a termin, prawie ultymatywny, dany mi przez sztab austriacki, mijał, tak, że musiałem się zgodzić na ciężkie warunki, a na ową konferencję poszedłem już po umowie ze sztabem austriackim.

Gdy do gabinetu p. Leo zostałem z p. Daszyńskim wprowadzony, znalazłem tam czterech panów, z których pamiętam trzech. Jeden był p. Leo, drugim był p. Jaworski, trzecim p. Dwernicki¹⁾; co do czwartego, nie jestem zupełnie pewien. Zdumiony tym zebraniem osób, których nie znałem, zdecydowałem od razu mieć się na baczności i z żadną inicjatywą nie występować.

Pierwszy zagaił zebranie p. Leo, twierdząc, że on, jako prezes Koła Polskiego, chciałby przed zebraniem Koła Polskiego, które musi nastąpić, ułatwić wszystkie możliwe porozumienia się pomiędzy ludźmi; i, czyniąc gest w kierunku p. Daszyńskiego, stwierdził tym, że oczekuje od p. Daszyńskiego, który nie wchodził do Koła Polskiego, jakiegoś dania przykładu. Następnie

wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Kom. Sfeder. Stron. Niep. i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej».

¹⁾ Tadeusz Dwernicki, adwokat lwowski, należał do t. zw. demokratów.

mówił p. Daszyński. Przemówienie jego pamiętam doskonale i stwierdzam raz jeszcze, że ani jednym pólśłowem nie zaczął Komisji Niepodległościowej, ani nikomu nie proponował wzięcia udziału w jej pracach, ani też nie stawiał żadnego wniosku o jakimkolwiek rządzie, «który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej». Zaczął p. Daszyński od stwierdzenia grozy sytuacji Polaków, którzy zmuszeni będą do strzelania do siebie i do niszczenia siebie wzajemnie, gdy wojna austro-rosyjska wybuchnie, — wojna bowiem pomiędzy tymi obu państwami nie była jeszcze ogłoszona.

Opisując wszystkie okropności tej sytuacji Polski, zaczął także twierdzić, że wobec zamknięcia zakładów przemysłowych w zaborze rosyjskim, mogą nastąpić tam akcje rabunków i akty gwałtów, gdy przy ucisku rosyjskim ludność tameczna nie jest dostatecznie zorganizowana; nawoływał zaś do konieczności pomyślenia o tej sytuacji i o wymyślenie jakichś środków zapobiegawczych. Pamiętam dokładnie moje niesmaczne wrażenie z jego przemówienia, sam zaś nie mówiłem dotąd nic, oczekując wciąż, jak mi się zarekomendują inni panowie, którzy tam byli zebrani.

Zaczął znowu p. Leo, z miną nieco zawiedzioną i niechętną, twierdził, że na tak szerokie wymagania odpowiedzieć sam nie może i że może odpowiedzieć po zebraniu Koła Polskiego, które niechybnie jakąś decyzję poweźmie i po porozumieniu się z rządem austriackim będzie w stanie rozpocząć jakąś pracę. Mówił jeszcze p. Dwernicki, uznając także konieczność zwołania Koła Polskiego.

Czułem, że wszyscy patrzą na mnie, jako na osobę, na owe czasy nadzwyczaj ciekawą, oczekując ode mnie prawdopodobnie rewelacji, związanej z umową moją ze sztabem austriackim.

Nie mogłem również nie widzieć i nie odczuwać, że ci panowie nie zdają sobie najzupełniej sprawy z żelaznych praw wojny, z całej potęgi jej techniki i wyobrażają sobie, że Koło Polskie mieć będzie cały czas te same przywileje, jakie miało podczas pokoju i że spokojnie będą mogli się zjeżdżać, wysyłać depesze, rozmawiać telefonicznie i obradować całymi miesiącami.

Moje przemówienie jest streszczone u p. Daszyńskiego względnie przyzwoicie ¹⁾. Konferencja ta zakończyła się twierdzeniem p. Leo, że życzyłby sobie, żeby ją można było powtórzyć.

¹⁾ Na str. 161 t. II «Pamiętników» Daszyńskiego.

Jasnym więc jest, że konferencja u dra Lea z moim udziałem nie miała na celu, jak pisze p. Daszyński, przedłożenia mu projektu «wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej». Wobec tego, że p. Daszyński wylicza cały szereg osób, które były na opisywanej przez niego konferencji, być może, że spłatał on kilka konferencyj razem ze sobą, w każdym jednak razie ja na konferencji żadnej nie byłem, na którejby p. Daszyński przedkładał p. Leo projekt, poprzednio wzięty w cudzysłów.

Wreszcie słów parę o moim oświadczeniu dla Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. P. Daszyński mówi o tym na stronie 158, o konferencji zaś z p. Leo na stronie 160, chronologicznie zaś było to akurat odwrotnie — konferencja z p. Leo była przedtem, następnie zaś w dobre kilka dni rozmawiałem z Komisją Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Główną przyczyną, dla czego tę rozmowę odkładałem, było nie co innego, jak fakt, że Drużyny Strzeleckie bardzo długo się wahały, czy mają iść ze mną razem, czy też zajmą wyczekujące stanowisko. Nie mogłem więc zwoływać całej Komisji, gdy nie byłem pewien, jak zebranie się ułoży ¹⁾.

Drugim zaś powodem był fakt, że wszystkie umowy, które sztab austriacki chciał zawierać, były wyraźnie umowami z moją jedynie osobą, z niemożliwością dopuszczenia do tego kogokolwiek innego. Zajęty więc byłem parę dni obmyślaniami politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie na jedynym możliwym projekcie spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależność od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie. Gdy przebiegałem listę osób, których mógłbym do tego celu użyć, zrzekałem się od razu myśli i próby urzeczywistnienia tego projektu, gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi, tak dalece wahającymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczności, że właściwie musiałbym robić wszystko za nich, kierując nimi prawdopodobnie w najdrobniejszej nawet rzeczy.

Dlatego też wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję, niż cokolwiek innego. Od tego też czasu datuje się moja dłu-

¹⁾ Na zebraniu K. S. S. N. w dniu 31 lipca 1914 r. polskie Drużyny Strzeleckie poddały się komendzie wojskowej przy K. S. S. N.

goletnia samotność, która mi się tak dała we znaki w moim życiu.

Na zakończenie omawiania rozdziału XXV, słów kilka o dniu 13 sierpnia, gdzie p. Daszyński stwierdza, że mu wtedy powiedziałem o wymaganiach, by strzelcy włożyli czarno-żółte opaski ¹⁾ i dodałem znane mi dobrze określenie, że «nie pozostaje mi nic innego, jak sobie w łeb strzelić».

Stwierdzam więc, że dnia tego nie mogłem mówić o tych wymaganiach, gdyż tych wymagań wtedy mi nie stawiano, natomiast moje słowa, słusznie przez p. Daszyńskiego przytoczone, tyczą się czego innego, a nie tego śmiesznego wymagania.

15) W stosunku do rozdziału XXVI nie mogę nie zastosować tej samej metody, co poprzedniego rozdziału. P. Daszyński bowiem raz po raz popełnia tyle nadużyć stylistycznych, związanych z moim nazwiskiem, a tyczy się ten rozdział tak ważnej części mojej pracy, że musiałbym pisać inny cały rozdział, zamiast tego, który napisany jest przez p. Daszyńskiego. Unikając więc tego, zatrzymać się mogę jedynie na kilku ważniejszych częściach, które chcę sprostować.

Przedewszystkiem zaznaczę, że cały okres czasu, który jest wzięty jako treść tego rozdziału, spędziłem nie w Krakowie, lecz na froncie, w okolicy Kielc i w Kielcach samych. Dlatego też zarówno przemiana Koła Polskiego w Wiedniu na Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), jak i jego pierwsze czynności nie odbywały się przy mnie, ani też z jakimkolwiek moim udziałem. Dlatego też, prawdopodobnie przy udziale p. Daszyńskiego, została jakoby powzięta uchwała połączonych Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych z Centralnym Komitetem Narodowym we Lwowie ²⁾. Uchwała ta, przytoczona na stronicach 169—170 ³⁾, nie była mi nigdy ogłaszana, ani też o istnieniu jej nie wiedziałem, dopóki

¹⁾ Mowa o następującym ustępie w «Pamiętnikach» Daszyńskiego: «Dnia 13 sierpnia z Krakowa, ze sztabu I korpusu przyjechał Piłsudski autem do Miechowa i powiedział mi, że zażądano od niego, aby Strzelcy włożyli czarno-żółte opaski i stali się oddziałem «Landsturmu» (pospolitego ruszenia) austriackiego». T. II, str. 166.

²⁾ «Centralny Komitet Narodowy» we Lwowie był złożony z reprezentantów stronnictw polskich Galicji wschodniej. Rolę dominującą odgrywali w nim narodowi-demokraci i konserwatyści Galicji wschodniej, t. zn. podolacy. «Sokół» i «Drużyny Bartoszone» uważały ten Komitet za swój wykładnik polityczny.

³⁾ Mowa tu o uchwale powziętej w Krakowie dnia 16 sierpnia 1914 r. o zlanie się «Centralnego Komitetu Narodowego» i «Komisji Skonfeder. Stron. Niepodległościowych» w «Naczelny Komitet Narodowy».

nie przeczytałem jej na stronicach pamiętnika p. Daszyńskiego, dlatego też żadnym motywem mojego postępowania ona nie była.

Zaznaczyć też muszę, że kiedy przyjechałem na pół dnia do Krakowa, zastałem Naczelny Komitet Narodowy już sformowany wyraźnie i wyłącznie z posłów galicyjskich do parlamentu wiedeńskiego i nie bez zadowolenia skonstatowałem, że p. Daszyński z socjalistami wszedł do tegoż Naczelnego Komitetu, jak i do zebrania posłów galicyjskich, jako integralna składowa część.

Nie mogę nie powiedzieć, że gdy w poprzednim rozdziale p. Piłsudski musiał od p. Daszyńskiego w pamiętnikach wysłuchać dużo gorzkich uwag za opuszczenie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, to w niniejszym rozdziale autor pamiętników przechodzi z niezwykłą łatwością do porządku dziennego nad takimże postępkem p. Daszyńskiego. Ani jednej gorzkiej uwagi, pomimo, że wszedł do Koła Polskiego, które stale i namiętnie oskarżał i namiętnie obalał poprzednio.

Co do mnie, wszedłem od razu w pertraktacje z prezesem Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego, p. Leo. Z pamiętników p. Daszyńskiego wnoszę, że p. Leo nie zechciał nigdy komunikować p. Daszyńskiemu treści tych pertraktacji, chociaż powoływał nieraz do wspólnej rozmowy ze mną p. Jaworskiego.

Pertraktacje z p. Leo tyczyły się głównie ulepszenia uzbrojenia mego oddziału w polu i uregulowania stosunków pomiędzy mną a austriackim wojskiem; p. Leo najczęściej miał wtedy przy sobie jakiegoś kapitana, Czecha¹⁾, nie należącego nawet do sztabu generalnego, który jakimś mentorskim tonem pouczał p. Leo, prezesa Koła Polskiego i prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, o swoich czy czyichś poglądach na każdą sprawę. Pouczał zawsze w niemieckim języku, chociaż po polsku widocznie rozumiał, gdyż ja w rozmowie nie użyłem ani razu słowa niemieckiego. Wyznaję, że ten obrazek zawsze mi stoi w pamięci i zawsze go zestawiałem z nadętą figurą p. Lea przy pierwszej konferencji przed moim wymarszem z Krakowa.

Nie wchodząc jednak w żadne głębsze analizy, zdecydowałem od razu zrobić akces do tego pierwszego politycznego przejawu o charakterze czysto polskim, który jednak szedł w kierunku zbrojnego wystąpienia polskiego w tym czasie, gdy wszyscy na szalę wypadków rzucali miecze. Teraz, gdy tyle lat

¹⁾ Mowa o kpt. Brochu z komendy austriackiego korpusu w Krakowie.

minęło od tej chwili, nieraz zastanawiam się nad tym, czym dobrze postąpił, czyniąc to właśnie tak szybko. I nieraz wydaje mi się, że mogłem znacznie dłużej przeciągnąć moją absolutną niezależność, wykorzystując znacznie dłużej stworzoną przeze mnie fikcję Rządu Narodowego.

Główny zawód, jaki mnie po przystąpieniu do Naczelnego Komitetu Narodowego spotkał, tyczył się nie czego innego, jak stosunków z armią austriacką. Przede wszystkim słów parę o tych stosunkach. Ten oficer, który w imieniu sztabu zawierał ze mną pierwszą umowę, przeznaczony na wypadek wojny do sztabu jednej z armij, idącej w pole, najzupełniej lojalnie o tym mnie uprzedził i dał mi nazwisko innego oficera, który miał się zgłosić sam do mnie, gdyż ja także odchodziłem w pole. Tak się też i stało, i to zaraz po moim pierwszym marszu do Kielc. Depeszę od niego wręczył mi motocyklista austriacki zaraz po zajęciu przeze mnie dworca kieleckiego. Depesza zawierała prośbę, żebym tegoż dnia wieczorem był w Krakowie, aby się z nim zobaczyć.

Istotnie, odjechawszy autem z Kielc, spotkałem się z nim w jednej z kawiarni krakowskich na dość długiej rozmowie. Ten p. podpułkownik powiedział mi, że stosunki się nieco zmieniły, jak powiedział, — na lepsze, gdyż prawdopodobnie da się utworzyć z części posłów wiedeńskich coś w rodzaju organizacji politycznej, do której sądzi, że najlepiej mnie przystąpić, obawia się on bowiem, że w przeciwnym razie mógłbym mieć dużo kłopotów i oddział mój mógłby być narażony na najrozmaitsze przykrości, tak, że nie mógłbym osiągnąć swoich zamiarów. Gdym stwierdził, że nie jestem w stanie dać jakiegokolwiek odpowiedzi, nim nie będę dokładnie poinformowany o składzie personalnym tej zamierzonej instytucji, zakończył ze mną rozmowę, prosząc, bym jeszcze raz się z nim zobaczył, tym razem w Pińczowie, dokąd w tych dniach musi wyjechać.

Kiedym w parę dni potem po kilku potyczkach z Moskalami w okolicach Kielc już miał nieco spokoju z frontem, udałem się do Pińczowa, gdzie ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się, że ten podpułkownik ¹⁾razem ze sztabem tak zwanej grupy gen. Kummera opuścił Pińczów w niedającym się określić kierunku. W ten sposób urwała mi się na razie

¹⁾ Mowa o podpułkowniku austriackiego Sztabu Generalnego Janie Nowaku, jak o tym świadczy kopia listu Piłsudskiego do niego z dnia 22 sierpnia 1914 r., będąca w archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego». W liście tym Piłsudski wspomina o swych próbach w Pińczowie skomunikowania się z pplk. Nowakiem.

wszelka nić konsekwentnego związku mego ze sztabem, z którym jednak czułem się związany słowem honoru.

Po zniknięciu, jak kamfora, obu tych panów zdecydowałem na pewien czas zostawić sprawę w spokoju, nim nie zakończę pierwszego okresu organizacji swego oddziału, która to organizacja była dopiero w zaczątku. Niestety, zaraz po zawiązaniu Naczelnego Komitetu Narodowego zaczęto poza moimi plecami, bez mego udziału jakieś targi o mój udział i, gdy przyjechałem do Krakowa, dowiedziałem się o istnieniu jakiejś komendy austriackiej ¹⁾, która się miesza jakimiś rozkazami do tych oddziałów, które były przygotowywane przeze mnie w Krakowie do dalszego wymarszu. Udałem się od razu do tej komendy, gdzie zastałem dwóch panów. Jeden z nich był to gen. Baczyński ²⁾, drugi zaś — kpt. Zagórski ³⁾. Obaj mówili po polsku, jeden powoli i bardzo z niemiecka, drugi szybko i za to czysto po polsku. Gdym od generała zażądał odpowiedzi, jakim prawem on się miesza swoimi rozkazami do oddziałów, do niego nie należących, odpowiedział mi, że on nie wie, dlaczego on nie ma prawa rozkazywać tym oddziałom i majestatycznie wskazał mi ręką na kapitana. Kapitan zaś zaczął mówić szybko i dużo, kłamiąc przy tym tak bezczelnie w oczy o faktach, które już stwierdziłem, że zacząłem się silnie irytować. Na wszelkie moje wymagania, aby ten kapitan stwierdził przez kogo on jest upoważniony do rozmowy ze mną, kapitan ani razu nie wspomniał nazwiska tych dwóch panów, z którymi poprzednio mówiłem, tylko powoływał się albo na Naczelny Komitet Narodowy, albo na głównego dowódcę wojsk austriackich, gen. Conrada ⁴⁾. Wobec tych wszystkich niespodziewanych dla mnie zajść, zakończyłem rozmowę dość brutalnie, stwierdzając, że nie uważam ich za jakichkolwiek dowódców. P. Baczyński zaś i p. Zagórski oświadczyli mi, że oni zabronią jakimukolwiek z oddziałów, zebranych pod Krakowem, wychodzić poza granice państwa austriackiego, do niedawna istniejące.

Wyszedłem więc i zdecydowałem zasięgnąć języka u p. Lea i w jego biurach.

Od p. Lea nie dowiedziałem się nic określonego. Zdało mi się, że jak i gen. Baczyński, chciałby on majestatycznym ruchem wskazać na kogoś, kto by lepiej, niż on, mnie

1) Mowa o Komendzie Legionów Polskich.

2) Por. t. IV, str. 10.

3) Por. t. IV, str. 11.

4) Conrad v. Hötzendorf. Por. t. VI, str. 181.

poinformował, natomiast w długim i rozwlekłym wywodzie chciał, abym wyraził mu zdanie swoje co do przysięgi wojskowej, która będzie ode mnie i od mego oddziału wymagana. W biurach zaś twierdzono mi, wedle zwyczaju, różne rzeczy, oparte na wszelkiego rodzaju plotkach. Twierdzono jednak, że p. Leo ma być w Przemyślu w głównej kwaterze austriackiej, dokąd jest wzywany. Stwierdzono mi również, że zamiarem tak zwanego Naczelnego Komitetu Narodowego jest utworzenie dwóch Legionów — jednego wschodniego, drugiego zachodniego, gdyż obie części Galicji nigdy dotąd w niczym zgodzić się nie mogły. Dalej, że jakoby wschodni Legion oddany został pod komendę znanemu mi, dawno już dymisjonowanemu gen. Fijałkowskiemu¹⁾, który wypłynął na widownię w r. 1913 jako nauczyciel wojskowy w organizacji sokołów galicyjskich. Jakoby zaś nowy mój znajomy, p. gen. Baczyński, miał być wybrany na dowódcę Legionu zachodniego, przy czym zapewniano mnie, że p. gen. Baczyński nigdy w polu dowodzić nie będzie i zatem całe dowodzenie zostanie w moich rękach.

Było to wszystko tak niespodziane dla mnie, a zarazem tak śpieszyłem do oddziałów, do nadzwyczajnie trudnej pracy zorganizowania kilku tysięcy ludzi w jakiś przyzwoity oddział wojskowy, że zdecydowałem nie zmieniać nic w dotychczasowym odmówieniu prawa dowodzenia p. Baczyńskiemu i p. Zagórskiemu i po daniu odpowiednich rozkazów na miejscu w Krakowie wyjechać natychmiast do Kielc.

Musiałem sam się dobrze namyślić, jak mam wybrnąć z tak dzikiej i nonsensownej sytuacji, narzuconej mi nagle przez Naczelny Komitet Narodowy.

W Kielcach więc, po załatwieniu mnóstwa najdrobniejszych spraw organizacyjnych, po przejściu przez szereg najrozmaitszych odpraw, do których stawało mi nieraz po kilkunastu oficerów, jednym słowem — po załatwieniu codziennej niesłychanie męczącej pracy zostałem sam ze swoimi wątpliwościami. Przede wszystkim więc skonstatowałem dla siebie wyraźnie, że dotychczasowa prosta i nie zawierająca żadnych politycznych cech umowa ze sztabem austriackim zaczęła się rozchwiewać na dobre. Zaczęła się też rozchwiewać ona i pod względem technicznym, gdyż związek i dotychczasowa prosta także łączność zaczęła się rozplýwać w jakiejś mgłę, a o na-

¹⁾ Piotr Fijałkowski, em. plk. austr., kmtd Legionu Wschodniego do dnia 16 września 1914 r.

wiązaniu jej w sposób naturalny przy tylu zajęciach, jakie na mnie spadły, mowy na razie być nie mogło.

W pierwszej sprawie, sprawie politycznej, sam skomplikowałem ją niezwykle przez pośpiech przyłączenia siebie do pierwszej powstałej na ziemiach polskich organizacji politycznej o charakterze wojennym. Mógłbym był, naturalnie, przeciągnąć sytuację, czyniąc z przysięgi motyw dla ratowania zagrożonej przez postępowanie Naczelnego Komitetu Narodowego niezależności Polski, lecz wtedy stawiałem na kartę możliwość dalszego swobodnego rozwoju nie przez co innego, jak przez istnienie niezaprzeczonego faktu, że więcej, niż trzy ćwierci mego oddziału, składało się z Galicjan, zatem z wyraźnych austriackich poddanych, którzy nawet mogli być ścigani za to, że noszą broń bez złożenia żołnierskiej przysięgi. Przecież na moje żądanie wycofano do 20 oficerów rezerwowych z szeregów już zmobilizowanej armii austriackiej, a jednego cofnięto nawet z placówki, wystawionej w kierunku nieprzyjaciela na froncie serbskim ¹⁾). Samo zaś przystąpienie do Naczelnego Komitetu Narodowego po sprawdzeniu tej organizacji wydawało mi się oddaniem oddziału i siebie w ręce najmniej pewne i najmniej odpowiednie. Była to organizacja, złożona z posłów do parlamentu wiedeńskiego, w którym ja, jako nieaustriacki poddany i nie poseł, nie mógłbym ani zasiadać, ani tym bardziej pracować. W organizacji tej panowały ustawiczne spory, ustawiczna niezgoda i sejmikowanie, tak, że praca wojskowa nie mogła tam mieć żadnego dobrego kąta dla spokojnej i rozsądnej roboty i dlatego prawdopodobnie zostałaby zrzuczona zgodnie z tym, co dotąd obserwowałem, nie na kogo innego, jak na takie czy inne części wojska austriackiego. Rozumiałem więc dobrze skomplikowanie prostej dotychczas sytuacji i cały ciężar, leżący na mnie, przy chęci związania wszystkich moich zamiarów z całą nikłością dotychczasowej pracy polskiej.

Gdy zaś dodam, że wszyscy panowie austriaccy poddani byli, chociaż nie chcieli tego, zdaje mi się, zrozumieć, poddanymi państwa, będącego w stanie wojny, i zatem podlegali bezwzględnie presji wojennej tego państwa i że Galicjanie odznaczali się szaloną ignorancją we wszystkich sprawach, związanych z zaborem rosyjskim, oraz że instytucje Naczelnego Komitetu Narodowego czy Koła Polskiego w Wiedniu nie miały żadnego znaczenia i żadnego wpływu w zaborze rosyjskim, to moja praca, która się wiązała ustawicznie w wypadku wo-

¹⁾ Mowa o por. Franciszku Pększycu-Grudzińskim.

jennym nie z Galicją, a z zaborem rosyjskim, stawała od razu pod wielkim znakiem zapytania. Wyznaję, że nieraz nie widziałem żadnego wyjścia, żadnej możliwości dla uratowania sytuacji poprzedniej i zabezpieczenia zarówno sobie, jak i całemu oddziałowi większej dozy niezależności dla swobodnego rozwoju.

Tych parę dni i parę nocy należą do najbardziej męczących chwil mojego życia. Bardzo powoli zaczynałem zdobywać się na decyzję, pełną wątpliwości i pełną męczących chwiejności. Przede wszystkim więc, odrzuciłem od razu możliwość jakiegokolwiek czy formalnej, czy faktycznej zależności mojej i mego oddziału od Naczelnego Komitetu Narodowego, jako najzupełniej sprzecznej z moją zasadą pracy, opartej o zabór rosyjski. Następnie zdecydowałem, że zarówno organizacja wojska, jak i wszystkie stosunki z zaborem rosyjskim zostaną wyłącznie w moim ręku i nie zostaną przez mnie dane ani Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, ani armii austriackiej. Zgadzałem się raczej rozstać z życiem, niż pod tym względem ustąpić. We wszystkich innych rzeczach zdecydowałem pracę, którą dla siebie nazywałem zawsze sztukowaniem. To znaczy, dawałem sobie swobodę cofania się od takich czy innych decyzji i przedsięwzięcia prób wszelkiego rodzaju we wszystkich możliwych kierunkach, biorąc jako główny cel rozwój wojska o charakterze czysto polskim i możliwe dobre i doskonałe zachowanie się całego wojska w polu. Co się tyczy przysięgi, zdecydowałem, że wszyscy Galicjanie muszą stanąć do przysięgi, natomiast wszystkim Królewiałkom zostawiłem zupełną swobodę przysięgania lub nie. Zdecydowałem przy tym, że w rozmowach z p. Leo o przysiędze będę stawał tak dużo obiekcji i tak dużo wątpliwości, ażeby to moje sztukowanie darmo nie minęło. Temu memu postanowieniu zostałem wierny, dopóki wreszcie nie zakończyłem tej pracy w twierdzy magdeburskiej.

Dodam, że o tym moim postanowieniu nikomu nie mówiłem, nawet ze swoich najbliższych kolegów pracy, a tym bardziej p. Daszyńskiemu, którego, że powtórzę raz jeszcze, nigdy w nic nie wtajemniczałem, gdyż do utrzymania jakiegokolwiek tajemnicy nigdy nie był zdolny. Z posłów zaś galicyjskich pracowałem w tych sprawach niekiedy z p. Moraczewskim, który jednak wolał zawsze siedzieć w oddziale wojskowym, niż pracować politycznie czy w Kole Polskim, czy też w Naczelnym Komitecie Narodowym.

16) Na stronie 170 tegoż rozdziału p. Daszyński jeszcze raz wspomina moje słowa, że mogę sobie w łeb strzelić, tym

razem już nie w związku z czarno-żółtymi opaskami, ale z rozwiązaniem oddziału przez Austriaków. Stwierdzam więc, że te słowa mu powiedziałem w związku z pierwszym zawodem, który mnie spotkał ze strony panów z Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy poza moimi plecami dla swojej wygodki sprzedali Austriakom zarówno mnie, jak i mój oddział. Dodam jeszcze, że w przysiędze, złożonej w Kielcach¹⁾, istotnie odczytano nam przy słowach «cesarzowi Austrii» również słowa «królowi Polski». Nieraz przy wielu dalszych ciężkich przejściach migłała mi myśl na te słowa się powołać i w ten sposób grać na wyodrębnienie jeszcze dalsze mojej Pierwszej Brygady z wojska austriackiego. Jednak nie mogłem ze siebie wydobyć nawet w dziedzinie sztukowania powoływania się na tę przysięgę.

17) W następnym rozdziale XXVII nazwisko moje zgodnie ze skorowidzem nazwisk, pomieszczonych na końcu książki, wspomniane jest pięć razy. Nie zatrzymuję się na niektórych z tych wypadków, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, dlatego, że związane to jest w książce z tymi czy innymi określeniami sytuacji, czy też mojej działalności, w co, naturalnie, nie wchodzi, pozostawiając swobodę p. Daszyńskiemu, jak i innym, w sądach o mnie.

Przechodzę więc do faktów. Na stronie 195 p. Daszyński opowiada o zebraniu we Frysztaście dnia 15 listopada 1914 r.²⁾, na którym to zebraniu miałem być ja wraz z sześciu innymi panami. Stwierdzam, że na tym zebraniu nie byłem i zatem nie wynosiłem żadnych frysztańskich uchwał, na które tak często potem powołuje się p. Daszyński. Dnia 9 listopada wyszedłem z częścią mego oddziału do Krakowa przez Ulinę i od razu wpadłem w olbrzymie kłopoty, związane z komendą fortecy krakowskiej, która żądała, abym oddział swój wyprowadził z Krakowa, gdyż nie należy on do załogi fortecy, gdy ta weszła już w kontakt z nieprzyjacielem. Nie mogłem nawet oddać kilkudziesięciu jeńców rosyjskich, których z sobą przyprowadziłem, i zaledwie wytargowałem dwa dni zatrzymania w Krakowie dla wykąpania żołnierzy i jakiego takiego uporządkowania odzienia, zniszczonego przez długie marsze od Dębłina aż pod Olkusz. Natomiast musiałem natychmiast się zajmować urządzeniem mego pierwszego kontaktu z główną

¹⁾ Mowa o przysiędze, złożonej w Kielcach w dniu 5 września 1914 r. przez oddziały Pilsudskiego.

²⁾ Mowa o zebraniu, na którym zapadła decyzja połączenia «Polskiej Organizacji Narodowej» z «Naczelnym Komitetem Narodowym».

kwaterą austriacką w Cieszynie i zarządzeniami, związanymi z resztą mego oddziału, który zostawiłem pod Krzywopłotami.

Pamiętam, że m wyjechał z Krakowa autem z p. Sokolnickim; zatrzymałem się 15 listopada na krótki czas u p. Ryszarda Kunickiego we Frysztacie i rozmawiałem tam z p. Sokolnickim o sprawach, które mogą mieć związek z treścią tego, co p. Daszyński nazywa frysztackimi uchwałami. W każdym razie w tym czasie tak silnie przeważały we mnie wszystkie sprawy, związane z oddziałem moim, który musiałem połączyć w jedno, że na żadne zebrania nie miałem ani chwili czasu. Natomiast co do treści, związanej z Polską Organizacją Narodową, dałem swoje rozporządzenia znacznie przedtem, w początkach października, kiedy przyjechałem do Krakowa spod Nowego Korczyna, jeszcze chory od grypy, którą schwyliłem, przeziębiony na Wiśle ¹⁾). Rozporządzenia moje dla cywilnej organizacji, poprzednio stworzonej przeze mnie w Kielcach ²⁾), musiały być wydane, gdy likwidowałem wszystkie swoje urzędy i wojskowe, i cywilne przez ewakuację prawie wszystkiego, co było skompromitowane udziałem w pracy mojej w zaborze rosyjskim. Sądziłem wtedy, że najlepiej jest zlikwidować całą pracę cywilną i za to skoncentrować cały swój wysiłek na ochronę wszystkich, którzy musieli wyjechać do Galicji jako emigranci, gdyż obawiałem się, że Austria odeśle wielu z nich do obozu internowanych, żeby nie mieć z nimi kłopotów. Dodawałem zawsze, że w ten sposób pozbedziemy się dodatkowych i niepotrzebnych elementów, żeby móc silniej i pewniej się rozrosnąć, gdy wypadki pozwolą na to. Radziłem przy tym nie wahać się przed obciążeniem tą pracą krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Do zarządu tą całą pracą wyznaczyłem, jak i poprzednio, p. Sokolnickiego i p. Walerego Sławka. Forma, w którą zlaćby się mogły usiłowania Polskiej Organizacji Narodowej i Naczelnego Komitetu Narodowego, obchodziła mnie bardzo mało, tak, że żadnym inicjatorem w tej właśnie sprawie nie byłem i o tym w każdym razie nigdy z p. Daszyńskim nie rozmawiałem.

Co się zaś tyczy pomieszczonego na końcu rozdziału rozważania przez p. Daszyńskiego kwestii, czy Piłsudski wyzykiwał Naczelną Organizację Narodową, czy Naczelną Organizację Narodową Piłsudskiego, głosu swego zabierać nie będę, gdyż już

¹⁾ Piłsudski wyjechał z Kozłowa (miejscowość koło Nowego Korczyna) w dniu 26 września i przebywał w Krakowie do dnia 7 października 1914 r.

²⁾ Mowa o «Polskiej Organizacji Narodowej».

poprzednio określiłem w swojej decyzji, że liczyć się w swojej pracy z decyzjami Naczelnego Komitetu Narodowego nie chciałem i nie liczyłem się. Natomiast uważałem zawsze Naczelną Komisję Narodową jako jedną z organizacji polskich, które się w całej Polsce wytworzyły w związku z wielką wojną europejską. Dlatego też nigdy przed władzami austriackimi tej organizacji nie robiłem nic złego i nie wykorzystywałem żadnej sposobności, których miałem bardzo wiele, aby tej organizacji szkodzić. Niestety, o «réciprocité»¹⁾ ze strony Naczelnego Komitetu Narodowego w stosunku do mnie nigdy mowy nie było, gdyż Naczelną Komisję Narodową systematycznie i stale mnie szkodził u tych właśnie władz austriackich.

18) W rozdziale XXXIII nazwisko moje wspomniane jest dwa razy. Zaczynam po kolei. Na stronie 204 p. Daszyński opowiada o wydaleniu z Legionów kilku oficerów «z Moraczewskim, Boernerem, Zamorskim (Kordianem) na czele». Dlaczego na czele, tego ja nie wiem, prawdą zaś jest to, że wbrew rozkazom zatrzymałem tych wszystkich oficerów w wojsku. Natomiast poważnym nadużyciem stylowym p. Daszyńskiego jest pomieszanie wymienionych oficerów z jakimiś mężami zaufania Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy «zaopatrzeni w legitymacje ministerstwa spraw zagranicznych, mieli organizować opinię ludności Królestwa». I «właśnie za tę działalność niepodległościową oficerów I Brygady kapitan austriackiego sztabu Zagórski... spowodował wydalenie z Legionów». Wszyscy wymienieni oficerowie nie czynili nic a nic z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego, natomiast, zaopatrzeni w legitymacje moje, potrafili przeciągnąć pracę I Brygady na dalekich tyłach w Królestwie, nie słuchając nieraz wyraźnych rozkazów, dawanych im na dalekich etapach, tak, że ściągnęli tam na siebie wielkie niezadowolenie władz wojskowych i okupacyjnych. Dość prawdopodobnym mi się wydawało, że obciążeni byli również donosami agentów Naczelnego Komitetu Narodowego i p. Władysława Sikorskiego. Zajmowali się ci oficerowie przeszwarzaniem wielkiej ilości młodzieży z Galicji, która była zagrożona w tym czasie wzięciem jej do wojska austriackiego.

19) Na stronie 208 p. Daszyński opowiada o swoim pobycie w I Brygadzie w okopach nad Nidą w czasie koło 19 marca 1915 r. Co do mnie, nie przypominam sobie, abym widział p. Daszyńskiego podczas obiadu imieninowego w Grudynach, natomiast jest możliwe, że jakąś jedną chwilę wi-

1) Wzajemność.

działem się z p. Daszyńskim w tychże Grudzynach. Nie mogę jednak ani rusz powiązać tej jego wizyty z mymi imieninami i obiadem.

20) W rozdziale XXIX p. Daszyński traktuje sprawy, związane z przełomowym dla Polski rokiem 1915. Już na stronie 214 p. Daszyński bez żadnej zresztą podstawy mówi o mnie, że podczas mego pobytu w Warszawie w sierpniu tegoż roku ¹⁾ «brednie różnych polityków doprowadzały go wówczas do rozpaczy». Mogę z zupełną pewnością zaświadczyć, że rozpaczy nie odczuwałem, a że brednie różnych polityków galicyjskich, a jeszcze bardziej ich czynności robiły mnie tysiąc razy więcej przykrości, niż oszłomienie Warszawy, zajętej przez Niemców. Na stronie 216 p. Daszyński pisze, że «Piłsudski wydał hasło nie werbować. Ponieważ zaś młodzież rwała się do I Brygady, więc kilkuset zorganizowanych pod dowództwem Tadeusza Żulińskiego ²⁾ młodzieńców wymaszerowało do Brygady, ale werbunku, prowadzonego przez Departament Wojskowy, niepodległościowcy nie uznawali». Te wszystkie słowa wydają mi się odbiciem tej burzy w szklance wody, która w głowach polityków Naczelnego Komitetu Narodowego z ich «bredniami» odbywała się codzien w innej postaci. Więc przede wszystkim dla mnie miarodajnym było nie to, co się dzieje w burzy w szklance wody galicyjskiej, ale stan mojej organizacji, prowadzonej przez Żulińskiego, oraz stosunek Niemców do wszystkiego tego, co się dzieje w zajętej Warszawie. Natomiast rozmowy moje z tak zwanymi przez p. Daszyńskiego politykami były tylko orientacyjne, gdyż rozumiałem dobrze, że gwałtowna zmiana, która w życiu Warszawy zająć musiała, dopiero powoli wyrobić może sądy o rzeczy. Przekonałem się od razu, że w stosunku do mnie i prac moich spotkać muszę względnie szeroki oddźwięk, tak, jak go spotkałem w znacznie jaśniejszym i większym rozmiarze w Lublinie. Co się tyczy organizacji Żulińskiego, to przede wszystkim liczyła ona nie kilkuset, a kilka tysięcy zorganizowanych ludzi. Tę, niestety, najbardziej zorganizowaną część Warszawy spotkało przykre rozczarowanie z powodu stosunku, jaki istniał dla I Brygady zarówno ze strony władz austriackich, jak i Naczelnego Komitetu Narodowego. Wobec tego zarządziłem natychmiastowe odmaszerowanie do Brygady wszystkich najgorętszych i pozostawienie reszty tam, gdzie się znajdowali.

¹⁾ Mowa o pobycie Piłsudskiego w Warszawie i Otwocku w dniach od 15 sierpnia do 4 września 1915 r.

²⁾ Por. Tadeusz Żuliński, kmdt P. O. W. Por. t. IV, str. 45.

A wobec wielkiej prośby ś. p. Żulińskiego, abym mu pozwolił chociażby na czas mały odejść do Brygady, ku wielkiemu memu niezadowoleniu musiałem wyznaczyć komendę nową. Jako zasadę na czas pewien kazałem przyjąć odsyłanie do Brygady wszelakimi sposobami i drogami wszystkich tych, którzy się skompromitują wobec władz niemieckich i austriackich. Dla reszty zaś dałem rozkaz pozostawać w spokoju, możliwie rozszerzając organizację, nakazałem przy tym dużą ostrożność w stosunku do organizacji Naczelnego Komitetu Narodowego i p. Sikorskiego, gdyż przesiana ona jest najohydniejszym szpiegostwem. Żadnego zaś hasła «nie werbować» nie wydawałem, sprawa zaś sama werbunku rozdęta była właśnie w sposób taki, jak p. Daszyński pisze, przez Naczelną Komitet Narodowy i przez Departament Wojskowy z p. Sikorskim na czele, gdyż ani władze austriackie, ani władze niemieckie nie podnosiły tej sprawy i nie czyniły z niej czegoś ważnego. Przyszło do tego znacznie później.

21) W rozdziale XXXI na stronie 246 p. Daszyński opowiada o podaniu się moim do dymisji z wojska. Wiążąc przy tym to moje wystąpienie z wojska z najrozmaitszymi motywami i wypadkami, mówi o jakimś «wyczerpaniu wszystkich środków walki» przeze mnie, tak, że sam ten akt wyjścia z Legionów nie ma całkiem podobieństwa ani do tych motywów, które oficjalnie podałem, ani do dodatkowych motywów, których w oficjalnym podaniu się do dymisji nie przytoczyłem. Decyzja moja o moim wyjściu z Legionów zapadła akurat rok przedtem, gdy wróciłem z Warszawy do wojska, które pod Kowłem rozpoczęło kampanię na Wołyniu. O tym zaś powiadomiłem wszystkich oficerów w mojej Brygadzie do dowódców kompanij włącznie¹⁾. Rozumiem, że p. Daszyński, niepowiadamy przeze mnie o tym zamiarze, może robić jakie chcąc przypuszczenia o tym ważnym dla rozwoju wypadków fakcie, w każdym jednak razie ustępy, związane z moją dymisją, nie odpowiadają prawdzie i nie mogą być brane jako podstawa dla jakiegokolwiek historii.

W innych wypadkach (dwóch) nazwisko moje jest wspomniane tak okolicznościowo, że nie mam w nich nic do powiedzenia²⁾.

¹⁾ Mowa o t. zw. «odprawie kowelskiej» we wrześniu 1915 r., na której Piłsudski zakomunikował oficerom swoją decyzję ustąpienia z dowództwa Brygady, czego jednak nie uczynił pod wpływem usilnych próśb, by nie opuszczał szeregów. Por. t. VIII, str. 21.

²⁾ Na str. 247 t. II mówi Daszyński: «Ale tyle (Beseler) z polityki zasadniczej Piłsudskiego zrozumiał, że trzeba Polakom dać choćby tytuł

22) W rozdziale XXXII nazwisko moje wspomniane jest przez p. Daszyńskiego na początku rozdziału z powodu Rady Stanu i z powodu P. O. W. Przede wszystkim powiedzieć muszę, że wszystko to, co p. Daszyński mówi o P. O. W., ku wielkiemu memu zdziwieniu jest tak mętne i tak pomieszane z jakimiś dodatkami, jakby rozmyślnie wiążącymi P. O. W., to z ruchem niepodległościowym, to z moją ideą, lecz za nic w świecie wyraźnie z moją osobą, że przypomina mi to bezwiednie także groźby, robione przez p. Daszyńskiego w stosunku do mnie w sprawie Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych na początku wojny. Tak więc p. Daszyński pisze, że jacyś nie wymienieni niepodległościowcy, łądząc się, «zaczynali się naradzać nad ujawnieniem Polskiej Organizacji Wojskowej i oddaniem jej Radzie Stanu». Ależ P. O. W. była pod wyraźną moją komendą i miała na czele oficerów I Brygady, których dla tego celu odkomenderowałem do Warszawy. Nie było więc mowy o tym, ażeby P. O. W., która była jak gdyby rozciągnięciem I Brygady w Królestwie, mogła cokolwiek postanowić bez mego wyraźnego na to rozkazu. Istotnie jest słuszne, że byłem znacznie ostrożniejszy, niż wszyscy panowie z Rady Stanu, i nie życzyłem sobie rozszerzenia Legionów, dopóki nie stanie się jasnym, w jakiej formie ma to być przeprowadzone. Wiedziałem zaś z zachowania się zarówno p. Beselera, jak i płk. Paiča, który był w Warszawie reprezentantem armii austriackiej, jak i z rozmów z nimi, że obie armie — niemiecka i austriacka — chciałyby bardzo widzieć Legiony silnie wzmożone.

Następnie, p. Daszyński, podając jakoby historię P. O. W., zupełnie spokojnie miesza dwie rzeczy: jedną P. O. W., dowodzoną istotnie przez ś. p. Żulińskiego, która pracowała jeszcze w zaborze rosyjskim, z inną P. O. W., inaczej prowadzoną i inne cele sobie stawiającą podczas panowania niemiecko-austriackiego w Królestwie. P. O. W. wtedy, gdy istniała Rada Stanu ze mną, jeszcze niezaaresztowanym, była pod komendą oficera z mego sztabu, p. Tadeusza Kasprzyckiego. Wydaje mi się tym dziwniejszym to jak gdyby pomieszanie pojęć o P. O. W., gdy właśnie w całym Królestwie P. O. W. więcej znaczyła realnie, niż wszystkie partie, będące w Królestwie.

23) W rozdziale XXXIII p. Daszyński wspomina moje

własnej państwowości, bo inaczej werbunek nie uda się wcale». A na str. 249 mowa o manifestacjach na cześć Piłsudskiego w Krakowie w listopadzie 1916 r.

nazwisko kilka razy, raz jeden zaś tylko w związku z moimi czynnościami. Czynności te związane są z P. O. W. i moją pracą w Radzie Stanu. Przede wszystkim stwierdzić muszę, że tak nonsensownego planu, jaki mnie przypisuje p. Daszyński, nigdy nie miałem i nigdy takim planem się nie zajmowałem. Mianowicie — p. Daszyński po stwierdzeniu, że p. Sikorskiemu nie udało się werbunek, mówi: «Wówczas Piłsudski, który był członkiem Rady Stanu, postanowił użyć P. O. W. do tego, aby Rada Stanu uzyskała stanowisko samodzielne przez oparcie się na kadrach wojska polskiego, jakimi była P. O. W.»¹⁾. Wygląda mi to tak zabawnie i tak śmiesznie, że tylko człowiek bardzo i bardzo naiwny mógłby takie głupstwa powiedzieć. Więc P. O. W. nigdy kadrami wojska polskiego być nie mogła, następnie zaś nie mogłem nigdy być tak naiwny, abym oddawał w ręce Rady Stanu samą P. O. W.; po pierwsze — P. O. W. nigdy na to by się nie zgodziła, po drugie — Rada Stanu, tak, jak Naczelny Komitet Narodowy niegdyś, sprzedalaby natychmiast wszystko, co było i P. O. W., i Legionami, nawet za małe wygody życia. Natomiast władze wojskowe, zarówno niemieckie, jak i austriackie, ze mną targowały się stale tylko o P. O. W. Moje zaś stanowisko, które p. Beselerowi kilka razy powtarzałem, było zawsze jedno i to samo, mianowicie — że werbunek udać się nie może nigdy z chwilą, gdy stosunek do formacji wojska polskiego ma być niezmienny. I gdy Austriakom ta metoda się nie udała, to tym mniej może się udać Niemcom, do których stosunek ludności jest daleko gorszy, niż do Austriaków. Twierdziłem przy tym, że metody, obostrzone przez Niemców, są tego rodzaju, że wydaje mi się ciągle, jak to było zresztą z Austriakami, że się rozmyślnie robi wszystko, aby powstaniu wojska polskiego możliwie szkodzić. Dlatego też, powtarzam, tego śmiesznego planu, przypisywanego mnie przez p. Daszyńskiego, nie miałem.

Następnie co do przysięgi, której zażądano od Legionów, — co do mnie, wyraźnie zabroniłem składania tej przysięgi²⁾. Wiedziałem wtedy dobrze, że nieomal całość swojej dotychczasowej pracy prawie zupełnie kasuję, kazałem więc P. O. W. wejść możliwie głęboko pod ziemię, wchłaniając w siebie wszystkich tych legionistów, którzy wyjdą z wojska. Co do siebie samego, postanowiłem zaraz zająć się wszelkimi przygotowaniami do przejścia z kilku ludźmi na drugą stronę drutów, to znaczy do Rosji, gdzie zaczęła się praca rozkładu

¹⁾ Cytat z t. II, str. 274 «Pamiętników» Daszyńskiego.

²⁾ Mowa o kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r.

dotychczasowego systemu i gdzie, jak wiedziałem, na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków wybrano mnie jako honorowego dowódcę wszystkich wojsk polskich¹⁾). Śmiałem się zawsze w tym czasie, że sprawa polska przy ogólnym tchórzostwie grana jest stale przez Polaków nigdy «in plus», a zawsze «in minus», wtedy, kiedy ja prowadzę ją stale «in plus», a nie «in minus». Przyrównywałem to do gry w winta i twierdziłem, że wobec tego, że nasz kolor jest dotąd najniższy, to znaczy, że mamy piki, to dociągnąłem po tej stronie frontu do trzech pików, po tamtej zaś stronie można już zacząć od czterech pików.

Ten plan mój już mi się nie udał. Nie udał się głównie dlatego, że z chwilą odmówienia przysięgi przez olbrzymią większość legionistów wszyscy polscy politycy ówczesni, jak gdyby uprzedzając zamiary czy chęci władz okupacyjnych, zaczęli mówić w Warszawie, Krakowie, w Wiedniu, że Niemcy wszystkich, którzy odmawiają przysięgi, rozstrzelają i zrobią z nich nową hekatombę. Zdecydowałem wtedy, że nie mogę wobec tego opuścić szeregów, tak wiernie mi oddanych, i dlatego zostawiam pewien czas, który określiłem na dwa tygodnie, kiedy oddaję się do dyspozycji na równi z moimi towarzyszami broni. Jako też zostałem przed upłynięciem tych dwóch tygodni aresztowany i razem z Sosnkowskim wywieziony²⁾).

Taką więc była istotna historia, wtedy, kiedy u p. Daszyńskiego w jego pamiętnikach nie tylko ja, lecz i Legiony i tym bardziej P. O. W. wyglądają, jak przyczepka do przemówień i pracy p. Daszyńskiego, do jakiejś lewicy demokratycznej i do jakichś nieokreślonych «ruchów».

24) W następnych rozdziałach p. Daszyńskiego aż do ostatniego rozdziału, gdzie się zaczyna «powrót Piłsudskiego z niewoli», nazwisko moje wspomiane jest okolicznościowo. Najczęściej, o ile mogłem skonstatować, nazwisko moje łączy się z wszelkiego rodzaju żądaniami, stawianymi to Niemcom, to Austriakom o zwolnienie mnie z Magdeburga. Wobec tego zaś, że byłem izolowany od Polski przez dobrych kilkanaście miesięcy, nie mogłem brać udziału w żadnej z prac, które w owe czasy w Polsce robiono, więcej nawet, nie mogłem o tych pracach nawet nic wiedzieć, gdyż żadne pismo polskie

¹⁾ Mowa o wyborze na prezesa honorowego Ogólnego Zjazdu delegatów Związków Wojskowych Polaków w Piotrogradzie, odbytym w dniach 7—22 czerwca 1917 r. Wyboru dokonano w pierwszym dniu obrad. Por. t. V, str. 220.

²⁾ Aresztowanie Piłsudskiego nastąpiło dnia 22 lipca 1917 r.

do mnie nie dochodziło i jako jedyne pismo miałem nacjonal-liberalne «Magdeburger Zeitung», które akurat o Polsce nigdy nic nie pisało. Dlatego też nie mam właściwie nic do sprostowania we wszystkich tych rozdziałach p. Daszyńskiego.

Jeden mały wyjątek zrobić muszę, gdyż nie odpowiada on najzupełniej prawdzie. Mianowicie — na stronie 323 p. Daszyński opisuje wizytę u siebie w Krakowie p. Władysława Seydy i to w styczniu 1919 r., to jest w tym czasie, gdy byłem już w Warszawie i prowadziłem Polskę do zebrania sejmu w tejże Warszawie. P. Daszyński pisze, że «groźba Piłsudskiego, że Komitet (Narodowy) każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom; szło, jak pisze p. Daszyński, o propozycję p. Władysława Seydy, aby razem z socjalistami nie dopuścić do wyborów ¹⁾».

Stwierdzam więc, że nigdy od p. Daszyńskiego o tej propozycji p. Seydy nie słyszałem i zatem nie potrzebowałem wcale grozić ani p. Władysławowi Seydzie, ani żadnemu Komitetowi.

25) W ostatnim rozdziale XXXVIII p. Daszyński traktuje «powrót Piłsudskiego z niewoli i utworzenie pierwszego rządu państwa polskiego». Kiedy po kilka razy przeczytałem historię utworzenia pierwszego rządu, nie mogłem nie podziwiać, jak bez ceremonii p. Daszyński stale obchodzi się z historią, z faktami, datami i ze wszystkimi okolicznościami zewnętrznymi w stosunku do siebie. Siebie, naturalnie, nie poznałem zupełnie. Jakiś inny Piłsudski, nie grający przy tym żadnej roli, taka jakaś kulisa sceniczna. Dlatego też z wielkim trudem szukałem metody, jakąbym mógł iść celem sprostowania historycznego. Za dużo w tym wszystkim jakichś kłamanych anegdot historycznych, jakichś poplątanych zupełnie faktów, mających ciągle jako wiązadło p. Daszyńskiego. Trudności zwiększają się dla mnie jeszcze dlatego, że piszę to na Maderze i nie mogę z pewnością i ścisłością trzymać się dat historycznych, których na dalekim oceanie sprawdzić mi gdziekolwiek jest trudno, a pamięci dat, niestety, nie posiadam.

Otóż p. Daszyński opowiada, że 11 listopada, po telefonicznej ze mną rozmowie, przyjechał wieczorem około godziny

¹⁾ Daszyński na str. 323 t. II pisze: «Narodowa Demokracja opierała się na idei wyborów sejmowych aż do samego niemal ich terminu. Jeszcze w początkach stycznia 1919 r. próbowała utworzyć zamiast Sejmu «Komitet Narodowy», a p. Wł. Seyda był u mnie w Krakowie i proponował mej partii wybitne w Komitecie zastępstwo, byle tylko do wyborów nie dopuścić. Propozycję odrzuciłem, a groźba Piłsudskiego, że Komitet każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom».

dziesiątej do Warszawy, gdzie przyjął go Piłsudski z żółtą i niezdrową cerą twarzy, mocno zdenerwowany i bardzo zmęczony, i po długich rozmowach zdecydował, że powierza Daszyńskiemu utworzenie gabinetu. Dodaje przy tym: Piłsudski «miał wówczas faktyczną władzę i był rzeczywistym naczelnikiem państwa, bo nie tylko regencja mu ją oddała, ale naród cały ją bez protestu uznał»¹⁾. W dalszym zaś ciągu na początku strony 329 p. Daszyński pisze: «w listopadzie koalicyjny rząd był w Polsce niemożliwym. Piłsudski pragnął tego rządu, lecz i on liczył się z przeszkodami i zdecydował się na rząd ludowy».

Ręce mi opadają od tego zbioru kłamstw i przekręceń.

Faktycznie pierwsze dni moich prac w Warszawie po powrocie z Magdeburga wyglądały następująco:

Doskonale pamiętam dzień 10 listopada, jako pierwszy dzień mego pobytu w Warszawie. Cały ten dzień spędziłem na ulicy Moniuszki i starałem się choć trochę poorientować w sytuacji w Warszawie, choć trochę chwycić fakty z całej długiej przestrzeni czasu, kiedy ja byłem w Magdeburgu, najzupełniej izolowany od Polski; a czułem, że stosunki pomiędzy ludźmi, nawet mnie bliskimi, zupełnie się zmieniły. Przy tym cały czas drzwi się nie zamykały; wbiegali najrozmaitsi ludzie, żeby na mnie choć popatrzeć, choć słowo do mnie przemówić. Przychodziły różne delegacje z mowami, odbywała się pod balkonem manifestacja, do której musiałem wychodzić. I to wszystko odbywało się po dzikich wrażeniach nagłego zwolnienia mnie z Magdeburga z powodu wybuchu rewolucji w tym mieście, po nagłych berlińskich wrażeniach i po wybuchu rewolucji w stolicy Niemiec i po długiej niespanej nocy, spędzonej w wagonie w extra pociągu, którym mnie z Berlina odesłano do Warszawy²⁾.

Kiedy wreszcie około godziny dziesiątej wieczorem zakażalem kogokolwiek puszczać do mnie i zastanowiłem się nad sytuacją, w której się znalazłem w stolicy Polski, w której panował Beseler, zdecydowałem natychmiast wyjechać z Warszawy, gdy Austria już upadła, a całe pół Królestwa, czyli okupacja niemiecka, stała jeszcze bez zmiany. Zdecydowałem jechać do Lublina, gdzie był gen. Śmigły, i do Krakowa, gdzie był Roja, o czym się dowiedziałem od różnych ludzi. Chaos, z którym się spotkałem w Warszawie, był tak bezmierny, że bez zastanowienia się i obeznania się z charakterem tego chaosu

¹⁾ Cytat ze str. 328 t. II «Pamiętników» Daszyńskiego.

²⁾ Piłsudski wyjechał z Berlina 9 listopada 1918 r. późnym wieczorem; do Warszawy przyjechał 10 listopada o godz. 7 rano.

uważałem za niemożliwe dla siebie przystąpić do jakiejś pracy. Obciążał tę moją decyzję bardzo fakt, że ledwie chwilę tylko mógł widzieć swoją córkę, która mi się urodziła podczas mego pobytu w Magdeburgu ¹⁾). Z tą decyzją położyłem się spać — żeby choć trochę się przespać.

Nie sądzono jednak spać mi tej nocy. Wkrótce po zaśnięciu zostałem obudzony i zaraportowano mi, że przyszła do mnie delegacja od Soldatenratu ²⁾), czyli Żołnierskiej Rady, z jej przewodniczącym na czele, który w imieniu tej Rady objął komendę nad całym wojskiem niemieckim, które jeszcze w generał-gubernatorstwie warszawskim istniało. Gdy, zdziwiony tą delegacją, zapytał, czego mogą chcieć ode mnie, stwierdzili, że są gotowi poddać się wszystkim moim zarządzeniom, byleby im zagwarantował życie i swobodny odjazd do ojczyzny. Gdy zaś zdziwiony zapytał, dlaczego zwracają się do mnie, a nie do kogo innego, gdy ja świeżo przybyły z Magdeburga nie mogę mieć w ręku żadnej organizacji, tak pewnej i silnej, ażeby wola moja była zagwarantowana w dostatecznej mierze, odpowiedzieli mi w sposób nadzwyczajnie dowcipny. Mianowicie — stwierdzili, że nie chcą przeszkadzać Polakom w żadnej ich pracy w Polsce, lecz nie mogą zwrócić się do nikogo oprócz mnie, dlatego, że widzą, iż gdyby się zwrócili do kogo innego, czy do jakiejś grupy, to właśnie dlatego, że się zwrócili do takiej grupy czy człowieka, zostaliby wyróżnieni przez innych. Twierdzili przy tym, że gdybym się na to nie zgodził, to muszą zaraz dać rozporządzenie ostrego pogotowia i będą musieli siłą otwierać sobie drogę do Niemiec. Po krótkim namyśle musiałem dać odpowiedź, zapytałem więc, czy oddadzą w moje posiadanie broń niemiecką, która istnieje na tym terenie; drugie — czy oddadzą w ręce moje wszystkie lokomotywy i wagony, które są na terenie od nich zależnym i wreszcie, czy cała łączność telefoniczna i telegraficzna będzie dana mi do użytku dla rozmów i depeesz. Najbardziej w odpowiedzi wahano się co do broni, nie tylko w obawie życia, ale dlatego, że niektóre oddziały nie zechcą usłuchać takiego rozkazu. Byłem jednak bezwzględny i obstawałem przy swoim. Jeżeli czułem, że przedstawiciele Soldanteratu zaczynają ustępować, to znowu dla mnie następował okres wahania się; jakżeż ja to zrobię; dlatego też powiedziałem, że w tej chwili na takie rzeczy zdecydować się nie mogę; wtedy panowie ci odpowiedzieli

¹⁾ Mowa o pierworodnej córce Piłsudskiego, Wandzie, urodzonej 7 lutego 1918 r.

²⁾ Por. t. V, str. 13.

mi ostatecznie, że oni mogą czekać na moją odpowiedź tylko do ósmej rano dnia następnego, gdyż wtedy muszą natychmiast dać odpowiednie rozkazy.

Kazałem więc wtedy podać sobie mocnej herbaty i siadłem do rozmyślenia nad nową decyzją. Broń, lokomotywy i wagony stanowiły w tym czasie takie precjoza, że warto było zagrać na tę umowę, której nawet z pewnością nie mogę dotrzymać. Pamiętałem dobrze swoje myśli w wagonie, pędzącym z Berlina do Warszawy i unoszącym mnie poprzedniej nocy z więzienia na swobodę, i pamiętałem, jak jedną z najbardziej dokuczliwych dla mnie myśli była, że nas okupanci mogą zostawić bez jednej lokomotywy i bez jednego telefonu, czyniąc z nas prymitywy pod względem techniki życia. Nazajutrz rano dałem odpowiedź, zgadzającą się na gwarancję, stwierdzającą jednak, że muszę mieć czas do uporządkowania kraju, dając przy tym z mojej strony wybranego przeze mnie oficera dla stałego pracowania u nich dla ich jak najprędszego wywiezienia. Wybrałem do tego jednego z najenergiczniejszych moich oficerów, doskonale mówiącego po niemiecku, p. Boerenera, obecnego ministra poczt i telegrafów. Drugi warunek, który im postawiłem, była ochrona dla nich narzucona wszystkich oficerów niemieckich, z którymi mogą sobie czynić w swojej ojczyźnie, co chcą, u nas zaś nie wolno było ich obrażać, nie wolno było zdzierać im odznak, wolno było tylko ich rozbrajać. W ten sposób zmieniłem swoją poprzednią decyzję wyjazdu z Warszawy i dopiero drugiego dnia po przyjeździe zacząłem myśleć o utworzeniu rządu w Warszawie.

Nim przystąpię do opisu przejęć, z tym związanych, stwierdzę raz jeszcze, że tu, na Maderze, nie jestem w stanie sprawdzić ściśle dat takich czy innych moich czynności, lecz z pewnością powiedzieć mogę, że zobaczyłem się z p. Daszyńskim i z całym rządem lubelskim na pewno nie drugiego dnia po moim przybyciu do Warszawy, lecz musiało to się stać, jak mnie się zdaje, czwartego lub piątego dnia. Drugi dzień cały, zatem 11 listopada, poświęciłem przede wszystkim na zorganizowanie choć jakiegokolwiek pomocy sobie w pierwszych moich krokach i na jakim takim zorientowaniu się w sytuacji możliwie w całym kraju. Przychodziło mi to z nadzwyczajną trudnością, gdyż najbliżsi mi ludzie raczej rozpytywali mnie, niż w czymkolwiek mnie orientowali, a — powtarzam — spostrzegłem zmiany w stosunkach między nimi, w których sam nie mogłem się zupełnie zorientować. Obok tego przyjmować musiałem stale i ciągle całe mnóstwo znajomych i niezajomych, którzy wbiegali powiedzieć mi o swojej radości, albo raczej

orientowali się u mnie, niż ja u nich. Wszyscy zaś chcieli najwyżej trzech minut albo czterech, które się przeciągały do dziesięciu albo piętnastu, przy czym wszyscy ofiarowywali mi swoją pomoc, pozostając w pokoju, gdzie ja przyjmowałem i po 10 i 15 minutach. Służba zaś wewnętrzna po przeprowadzeniu tysiąca klótni machnęła na wszystko ręką i tylko z radosnymi minami wносиła mi ciągle gorącą herbatę i pchała we mnie rozmaite przekąski i zakąski. Szukałem wciąż coraz innego pokoju, gdziebym cokolwiek i z kimkolwiek mógł porozmawiać. Miłość więc do mnie pozostawiała mi niezwykle mało czasu do zastanowienia się i pobierania decyzji.

Z tych skąpych jednak informacji zdążyłem zrozumieć, że mam w Polsce co najmniej już cztery rządy; jeden z nich był w Warszawie w postaci umierającej i wchodzącej do grobu Regencji ¹⁾, drugi był w Krakowie, oparty na patencie cesarza Karola i złożony z posłów do zaginionego już parlamentu wiedeńskiego ²⁾. Rząd ten opierał się więc na kondominium z zagasłym już rządem austriackim, chociaż wojsko było jakoby w rękach pułkownika Roji, na którego mogłem liczyć śmiało. Trzecim był rząd ludowy i lubelski, który chciał objąć zarządzeniami byłą okupację austriacką ³⁾. Czwartym wreszcie był rząd Soldatenratu w Poznaniu ⁴⁾, do którego wchodziłi i przedstawiciele Polski. Piątym nareszcie byłem ja sam, który chciał urządzić rząd bez żadnych przymiotników dla całej Polski. Dodam, że do rządu ludowego i lubelskiego wchodził i płk. Smigły, na którego także liczyłem na pewno. W Warszawie zaś liczyć mogłem, że wszystko, co jest wojskiem, stanie pod moim dowództwem.

Gdy więc ja nie mogłem już wyjechać z Warszawy, tak, jak zamierzałem, do Lublina i Krakowa, zamierzałem zacząć od rządu ludowego i lubelskiego, ażeby go sobie poddać. Wydawało mi się to najłatwiejszym, i zresztą miał on ten plus w porównaniu z innymi, że nie opierał się na żadnym kondominium z byłymi zaborcami Polski.

Nie pamiętam już teraz, czy przed ściągnięciem całego rządu lubelskiego do mnie do Warszawy, rozmawiałem z prezesem tego rządu, Daszyńskim, osobno, czy też rozmawiałem również osobno z innymi członkami tegoż rządu bez posiedzenia, zacząłem jednak od tych twierdzeń, którymi i zakończy-

¹⁾ T. j. Rady Regencyjnej.

²⁾ Mowa o «Polskiej Komisji Likwidacyjnej». Por. t. VIII, str. 92.

³⁾ «Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej». Por. t. V, tr. 15.

⁴⁾ W Poznaniu władzę sprawowała Rada Robotniczo-żołnierska, w składzie: 6 Niemców i 5 Polaków.

łem na posiedzeniu tegoż rządu u mnie w mieszkaniu na Mokotowskiej ¹⁾). Twierdzenia te były następujące: po pierwsze, że dążyć będę do rządu koalicyjnego, który znowu dążyć będzie do możliwie szybkiego zwołania sejmu w Warszawie, po drugie zaś, że nie chcę dopuścić, by rząd był ubrany w jakiegokolwiek przymiotniki, gdyż to jest śmiesznym naśladownictwem eksperymentów, idących od wschodu. Na te spory o słowa, o szyldy musiałem zużyć dużo energii i wtedy zażądałem, aby rząd odbył posiedzenie w Warszawie u mnie. Pamiętam żywo to posiedzenie, na którym osobiście przewodniczyłem. Postawiłem tam kwestię zupełnie wyraźnie, żądając, żeby rząd się rozwiązał, pozostawiając mnie swobodę działania. Spotkałem opór ze strony p. Daszyńskiego i kwaśne miny ze strony części tego rządu. Zwróciłem się wtedy do pułkownika Śmigłego, żądając odpowiedzi, czy staje natychmiast pod moją komendą. Płk. Śmigły stanął na baczność i stwierdził, że zawsze był moim podwładnym i chce nim pozostać. Dodam jeszcze, że zarówno p. Daszyński, jak niektórzy z członków lubelskiego rządu, chcieli urządzić rewolucję przeciwko Regencji, której zresztą odmawiali wszelkiego wpływu i znaczenia, co zresztą było ścisłą prawdą. Pozostawiłem więc po odebraniu wojska pod moją komendą rząd lubelski na naradzie u mnie, żądając odpowiedzi możliwie szybkiej i gdy po niejakiś czasie zostałem znowu zaproszony na posiedzenie, Daszyński w imieniu rządu stwierdził jego rozwiązanie, dodając, że gdy odebrałem rządowi ministra wojny, rząd utrzymać się nie może. Zdecydowałem wtedy od razu, że będę musiał oddać sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu; czyniłem to z pewną wewnętrzną niechęcią, lecz postanowiłem od razu, że postawię dwa zasadnicze warunki. Jeden z nich tyczył się natychmiastowej i pośpiesznej pracy nad zwołaniem sejmu w Warszawie, drugi zaś tyczył się zaniechania jakiegokolwiek pracy prawodawczej i wprowadzania jakichkolwiek praw o charakterze socjalnym, nim sejm nie zbierze się w Warszawie. Zdawało mi się, że te zastrzeżenia wystarczą. Natomiast zdecydowałem, że przedtem, nim oddam sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu, muszę uczynić coś w rodzaju narady czy wysłuchania opinii całego szeregu ludzi, reprezentujących choć cokolwiek z mnóstwa tajnych dotąd organizacyj o charakterze politycznym. Nie mogłem bowiem dopuścić, abym, czyniąc taki wy-

¹⁾ Piłsudski po przyjeździe z Magdeburga do Warszawy zamieszkał od dnia 10 listopada przy ul. Moniuszki 2, potem od dnia 17 listopada 1918 r. wieczorem przy ul. Mokotowskiej 50.

łom w pojęciach ludzi w Polsce, dając na czoło rządowi człowieka, zupełnie nieznanego w przeważnej części Polski, nie miał nawet próby porozmawiania chociażby nawet mylnie wybranych ludzi. Wielce pomocnym przy tym doborze ludzi był mi p. Artur Śliwiński, który mi bezstronnie oświetlił sytuację polityczną w Warszawie.

Poświęciłem na to całe dwa dni i po kolei wysłuchałem czterdziestu kilku ludzi, nie mówiąc sam przy tym nic a nic, a tylko wysłuchując różne opinie, narzekania i, co najważniejsza, absolutną odmowę dania mi jakiegokolwiek rady czy wymienienia jakiegokolwiek nazwiska w sprawie utworzenia rządu w Polsce¹⁾. Zdecydowałem wtedy, że jestem już wolny od narad, i zgodnie ze swoją decyzją oddałem tworzenie gabinetu p. Daszyńskiemu. A że wszystkim panom mówiłem o konieczności współpracy i utworzeniu koalicyjnego rządu, dlatego też to polecenie dałem również p. Daszyńskiemu. Nie wiem, dlaczego p. Daszyński w swoich pamiętnikach tak starannie opuszcza moją pracę nad utworzeniem rządu, czyniąc fałszerstwo historii i usuwając mnie i moje żądania, i pisze, że ja się zdecydowałem na rząd ludowy (strona 329).

Przy rozmowie z Daszyńskim i niektórymi innymi członkami rządu lubelskiego stwierdziłem, że główną przeszkodą dla rządu koalicyjnego była niemożliwość nawet rozmowy z Narodową Demokracją. Na moje usilne nalegania skończyło się możliwością rozmowy z narodowymi demokratami, ale tylko poznańskimi. Tymczasem późnym wieczorem czy tegoż dnia, gdy publicznie stało się wiadomym, że Daszyński ma misję tworzenia rządu, czy też nazajutrz potem zgłosił się do mnie niejaki p. dr Paderewski²⁾, znany przedstawiciel Narodowej Demokracji w Warszawie. Ja leżałem w łóżku, gdyż miałem gorączkę, przyjąłem więc tego pana w łóżku. Pan ten począł mi mówić o niemożliwości dla Narodowej Demokracji pracy z p. Daszyńskim, natomiast uważał za możliwe pracę z p. Moraczewskim. Przy czym pomiędzy rozmaitymi argumentami przeciwko p. Daszyńskiemu czynił kilkakrotnie z obleśnym uśmiechem bardzo brzydkie i ubliżające uwagi o p. Daszyńskim. Wreszcie przerwałem te wynurzenia, zbesztalem tego pana za podobne traktowanie rzeczy i przerwałem wszelkie z nim rozmowy. Postanowiłem jednak wykorzystać tę rozmowę dla usunięcia p. Daszyńskiego, gdyż z jego pracy już do-

¹⁾ Por. t. V, str. 18.

²⁾ Mowa o Zbigniewie Paderewskim, b. pośle do I Dumy z gubernii piotrkwskiej.

tychczasowej wywnioskowałem, że tworzenie rządu będzie trwać bardzo długo i skończy się, jak zwykle u p. Daszyńskiego, którego przecie znałem, oskarżaniem wszystkich absolutnie, nie wyłączając nawet i mnie.

Dlatego też już nazajutrz rozmówiłem się z p. Moraczewskim, któremu opowiedziałem ze wszystkimi szczegółami rozmowę z p. Paderewskim. Namawiałem usilnie p. Moraczewskiego, ażeby przy tych samych warunkach, jakie stawiałem p. Daszyńskiemu, zgodził się na formowanie rządu¹⁾. P. Moraczewski mi ulegał, twierdził jednak, że zgodzić się może tylko wtedy, gdy p. Daszyński ustąpi sam od oddanej mu misji, rozmawiać zaś z nim o tym absolutnie nie chciał. Spadła więc ta przykra rozmowa na mnie.

Rozmowa z p. Daszyńskim poszła mi znacznie łatwiej, niż przypuszczałem. Sądzę, że p. Daszyński był już bardzo zniechęcony chłodnym przyjęciem, jakie spotkał w Warszawie, tak, że rozmowa mi poszła dość szybko i bez żadnych trudności. Odetchnąłem więc ze znaczną ulgą. Na końcu jednak p. Daszyński postawił mi jedno z najśmieszniejszych wymagań ze wszystkich śmiesznych wymagań, jakie człowiek postawić może, mianowicie — zażądał ode mnie, ażebym go zwolnił od misji za jego kontrasygnatą i żebym wyznaczył p. Moraczewskiego także za jego kontrasygnatą²⁾. Zaczął mi przy tym tak zawile i z taką mądrą miną przekonywać o konstytucyjnej wartości takiego pierwszego aktu, a p. Moraczewski tak zacięcie i uporczywie milczał przy tym, że zacząłem się obawiać rozchwiania się tak udatnie zakończonej sprawy albo jej odciążenia jeszcze na kilka dni. Machnąłem więc ręką na całą śmieszność, byle sprawę czym prędzej zakończyć. Pamiętam, jak p. Daszyński z lubością spoglądał na ten akt konstytucyjny i powiedział: «no, tak, to dobrze».

Czy p. Daszyński brał udział w utworzeniu rządu p. Moraczewskiego i czy zatem prawdziwymi są sceny, które p. Daszyński opisuje w stosunku do p. Moraczewskiego, — nie wiem, lecz wydaje mi się pewnym, że już nazajutrz p. Daszyński opuścił Warszawę i wyjechał do Krakowa. Dlatego też słowa p. Daszyńskiego na stronie 332: «po pięciu dniach pracy mogłem Naczelnikowi Państwa przedstawić listę gabinetu» są zupełnie niesłuszne i nieprawdziwe, nie mówiąc już o tym, że tytułu Na-

¹⁾ Por. t. V, str. 24.

²⁾ W «Monitorze Polskim» z dnia 18 listopada 1918 r. są te dwa akty, o których mówi Piłsudski, z kontrasygnatą Daszyńskiego, która była sprzeczna z wszelkimi zwyczajami prawnymi.

czelnika Państwa wtedy nie miałem i nikt o takim tytule wtedy nie mówił¹⁾.

Nie mogę więc zgodzić się z przypisywaną przez p. Daszyńskiego samemu sobie zasługą, że on, a nie kto inny, utworzył pierwszy rząd polski.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW LEONA BILIŃSKIEGO

(«Wspomnienia i dokumenty» — tom I i II, Warszawa, 1924)

I.

W stosunku do «Wspomnień i dokumentów» ś. p. Leona Bilińskiego zastosowałem ten sam system, co do pamiętników p. Daszyńskiego, to znaczy, że związuję swoją pracę jedynie z tymi miejscami jego wspomnień, gdzie moje nazwisko jest przytoczone. Natomiast nie wchodzę najzupełniej w żadne wywody ani sądy p. Bilińskiego we wszystkich innych miejscach jego wspomnień, których ani czytałem, ani prawdopodobnie nie będę w stanie przeczytać.

1) Po raz pierwszy nazwisko moje spotyka się na stronie 295 pierwszego tomu, gdzie p. Biliński, występując przeciwko gen. Conradowi, głównemu dowódcy armii austriacko-węgierskiej, pisze: «kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie Legionów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej, Józef Piłsudski, złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację niezawisłościową połączyć z organizacją legionową, — p. gen. Conrad nie przychylił się w swej głównej kwaterze do ustnej prośby prezesa Lea, by Legiony, zmuszone łączyć się z armią austro-węgierską, jako część t. zw. «Landsturmu», mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać wierność ojczyźnie polskiej».

W tej cytacie nie mogę nie zatrzymać się na nadaniu mi godności naczelnika tajnej organizacji warszawskiej. Z wrażeń moich to jakieś tajemnicze nazwanie mojej godności w przeciwstawieniu do jawnej organizacji galicyjskiej jest może naj-

¹⁾ Piłsudski jako Naczelnik Państwa objął władzę na podstawie dekretu o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, wydanego w dniu 22 listopada 1918 r. Por. t. V, str. 25.